CIVITAS CHRISTIANA

Katolickie Stowarzyszenie
Civitas Christiana
Oddział w Nowym Sączu

ISSN 1232-5910

ALMANACH SĄDECKI

R. VI
NR 4 (21)

Przedsiębiorstwo Produkcyjno Handlowo Usługowe

33-300 Nowy Sącz
Gwardyjska 37
tel.(018)4414799, tel./fax (018)4412825

DRUK OFFSETOWY

OPAKOWANIA KARTONOWE
ETYKIETY (dowolny kształt)
KSIĄŻKI
FOLDERY
PLAKATY
NAKLEJKI
KALENDARZE
ULOTKI
LAKIEROWANIE UV i IR
SZTANCOWANIE (do formatu B1)
SITODRUK
OPAKOWANIA TEKTUROWE

FLEKSOGRAFIA

DRUK NA POLIPROPYLENIE
DRUK NA POLIETYLENIE

CIVITAS CHRISTIANA

Katolickie Stowarzyszenie
Civitas Christiana
Oddział w Nowym Sączu

ALMANACH SĄDECKI

R. VI NR 4 (21)

BP NS Region

Nowy Sącz 1997

Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. J. Siuskiego w Nowym Sączu
Region

Almanach Sądecki (kwartalnik)
Wydawnictwo Katolickiego Stowarzyszenia
Civitas Christiana w Nowym Sączu
ul. Ks. Kard. Stefana Wyszyńskiego 3
tel. (018) 443 81 52

Redakcja: Marek Basiaga
Leszek Migrała — red. naczelny
Stanisław Pażucha

Projekt okładki: Barbara Magierowa

Skład komputerowy: Biker Studio graficzne
Nowy Sącz, tel./fax (018) 442 81 61

Druk: S.C. „BAAD"
Nowy Sącz, ul. Gwardyjska 38, tel. (018) 441 28 25

ARC. 19 I.

Maria Kowalska

WŁAŚCICIELE DWORU W LIMANOWEJ

Teren, gdzie stoi obecnie dwór limanowski, należał w przeszłości do Starej Wsi, istniejącej już w 1415 roku. W latach 1400–1454 zostały założone inne pobliskie wsie: Limanowa (początkowo Ilmanowa), Mordarka i Sowliny. Znacznie później, bo w latach 1454–1572 powstała wieś Lipowe. Te przybliżone daty ich założenia podał Henryk Stamirski w opracowaniu *Rozmieszczenie punktów osadniczych Sądecczyzny w czasie (do 1572) i w przestrzeni* zamieszczonym w *„Roczniku Sądeckim"* t. 6, 1965, s. 1–45. Wsie te podlegały początkowo sądownictwu w Czchowie, dlatego znalazły się o nich informacje w dawnych aktach ziemskich i grodzkich, krakowskich i czchowskich.

W XV w. **Mikołaj** i **Bartosz Skarbkowie** sprzedali Sowliny i Mordarkę **Mikołajowi Słupskiemu**, herbu Drużyna, pochodzącemu ze Słupi koło Szczyrzyca. Do niego należała też wieś Limanowa „Ilmanowa" oraz Lipowe. Prawdopodobnie ten sam Mikołaj Słupski był również właścicielem Łososiny Górnej. Na początku XVI w. Słupski popadł w długi i najpierw zastawił swoje wsie (oprócz Łososiny Górnej), a następnie sprzedał je **Achacemu Jordanowi** z Zakliczyna w 1520 r. Nowy gospodarz chciał sprowadzić do swoich włości więcej osadników, dlatego we wsi Ilmanowa założył parafię w 1527 r. Ksiądz Joniec w *Historii parafii limanowskiej* Limanowa 1953 (maszynopis) podał, że stał już wówczas drewniany kościół w kształcie krzyża z jedną wieżą od strony zachodniej, zbudowany przed 1527 r. Niestety w *Liber Beneficiorum* (1450) Jana Długosza, ani w innych dokumentach nie udało mu się znaleźć żadnej informacji do jakiej parafii wsie klucza limanowskiego należały. Tymczasem Jan Wielek w publikacji *O początkach parafii Limanowa* (*„Almanach Sądecki"* 1993, nr 5, s. 3–5) podaje, że w *Regestrum centrebuciensis… A. D. 1513*, znajdującym się w Archiwum Kapituły Krakowskiej figuruje zapiska, że w tymże roku wikary z Li-

manowej „Ylmanowy" wpłacił należną sumę dla Kapituły Krakowskiej. Obok niej znajdują się informacje dotyczące Łososiny i Starego Rybia.

Inna zapiska sądowa z 1527 r. informuje, że dziedzic Achacy Jordan z Zakliczyna podpisał prezentę na proboszcza limanowskiego ks. **Janowi z Olkusza**, pozostając kolatorem wobec kościoła. Wówczas proboszcz ten wniósł proces do sądu przeciwko plebanowi z Łososiny Górnej **Feliksowi z Rajbrotu**, który twierdził, że kościół w Limanowej jest filialnym w stosunku do łososińskiego. Spór wygrał ks. Jan z Olkusza, gdyż już w 1529 r. parafia limanowska wysyłała samodzielnie dziesięcinę biskupowi krakowskiemu. Na podstawie tych dwóch informacji Jan Wielek stwierdził, że pierwszy kościół w Limanowej wybudowali prawdopodobnie Słupscy, którzy byli właścicielami także Łososiny oraz kolatorami tamtejszego kościoła, natomiast Achacy Jordan usamodzielnił parafię limanowską w 1527 r., podlegającą pierwotnie parafii łososińskiej, istniejącej już w 1326 r.

Wyjaśnić trzeba, że kolator oznaczał dawnej patrona, fundatora kościoła, który miał „prawo prezenty", czyli przedstawienia biskupowi kandydata na wakujące beneficjum przy kościele (Władysław Kopaliński, *Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych*, Warszawa 1970). Dziedzic limanowskiego klucza podpisywał każdemu nowemu proboszczowi prezentę, i to prawo zachowało się do końca XIX wieku.

Pierwszy kościół stał w tym samym miejscu co dzisiejsza Bazylika Mniejsza. W 1558 r. nastąpiła jego konsekracja, nadająca mu długie wezwanie: Świętych Apostołów, Walentego, Mikołaja, Zofii, Laurencji, Krzysztofa i Cecylii. Po Św. Apostołach jako pierwszy figurował św. Walenty, dlatego w XVII w. został samodzielnym patronem kościoła oraz miasta. Po nim z kolei występował św. Mikołaj, być może od imienia dziedzica Mikołaja Słupskiego. Koło kościoła był cmentarz otoczony drewnianym płotem.

Majątek Achacego Jordana odziedziczył jego syn **Stanisław Jordan**. W dniu 12 kwietnia 1565 r. otrzymał przywilej od króla **Zygmunta Augusta** na założenie miasta Ilmanowa na prawie magdeburskim. Przemawiał za tym fakt, że dawna Ilmanowa leżała na szlaku handlowym Koszyce — Nowy Sącz — Kraków.

Rejestry poborowe z II połowy XVI w. wskazują dwie Ilmanowe — miasto i wieś, liczące łącznie 2 łany kmiece, czyli 150 morgów. Potem rozwijające się miasteczko wchłonęło wieś. Po założeniu zwolnione było od podatków przez okres 30 lat.

„Dla Jordanów była Limanowa nadal ogniskiem klucza ich dóbr, doznaje też ich opieki" — pisze Franciszek Bujak w monografii *Limanowa*, Kraków 1902. Dziedzic Stanisław Jordan powołał wójta, zwanego landwójtem, samodzielnego urzędnika, mającego szerokie uprawnienia. Przy pomocy 7 ławników sprawował rządy w mieście, ale odpowiedzialny był przed dziedzicem.

Pierwszy drewniany kościół w Limanowej. Rysował artysta malarz Tadeusz Ociepka

Wytyczono rynek miasta i ulice: Krakowską i Sądecką. W 1565 r. miasteczko Ilmanowa liczyło 10 mieszkańców, 9 przybyło z najbliższych okolic, a jeden był z Ilmanowej–wsi. Ta nazwa miasta utrzymała się do końca XVIII w., natomiast na początku XIX w. figurowało już jako Limanowa. Co pewien czas przyjmowano do miasteczka nowych mieszczan, którzy składali przysięgę i opłaty urzędowe. Jeszcze w 1819 r. przyjmowano nowych obywateli, których tytułowano „sławnymi". Dziedzic sprzedawał mieszczanom działki pod budowę domów i na ogrody, co dawało mu spore zyski. Niektórzy mieszczanie mieli jeszcze prócz tego kilka morgów ziemi poza miastem. Ci, którzy mieli mało ziemi, musieli rozwijać przemysł i handel, aby nie popaść w nędzę. Już po 10 latach od założenia miasta byli tu rzemieślnicy:

ślusarze, rurmistrz, postrzygacz sukna. Obok nich mieszkali też nie posiadający obywatelstwa: tkacz, kowal, sukiennik. Aby miasteczko mogło się rozwijać, wyznaczono dwa jarmarki w roku: 22 lipca, 6 grudnia, a co sobotę targi. Sądownictwo sprawował wójt przy pomocy ławników. Miał pełne ręce pracy, bo ludność popełniała liczne przestępstwa. Niełatwo było utrzymać porządek, bo osiedlało się tu wielu przybyszów pochodzenia szlacheckiego z całej Polski, którzy często byli ścigani za przestępstwa kryminalne. Najczęściej popełnianym przestępstwem było łamanie przysięgi małżeńskiej, wielu mieszczan oprócz własnego ogniska rodzinnego miało jeszcze potomstwo z cudzymi żonami i służącymi. Często zdarzały się kradzieże, w tym bydła, a nierzadko zbrodnie. Sądy odbywały się pod gołym niebem, a skazanych zamykano do więzienia w ratuszu, znajdującym się w centrum miasteczka. Często karano za przewinienia grzywnami pieniężnymi według zamożności, co było dotkliwsze niż więzienie. Odbywały się też zgromadzenia ludności z całego klucza limanowskiego, na których przeprowadzano rugi i inkwizycje, mające na celu wyplenienie zbrodni oraz występnego życia wśród mieszczan i chłopów. Wszelkich wykroczeń było dużo, dlatego nie można było stosować zbyt surowych kar według prawa niemieckiego, gdyż trzeba by było ukarać 1/4 ludności, a drugie tyle uciekłoby ze strachu przed karą, co mogło doprowadzić do wyludnienia całego klucza limanowskiego. Wymierzano też publicznie kary cielesne, do czego służył pręgierz, w postaci zwykłego słupa dębowego, stojący do 1887 r. na rynku, naprzeciw figury św. Floriana.

Niektórzy mieszczanie cierpieli nędzę, zwłaszcza starsi i samotni. **Anna Jordanowa**, żona dziedzica Stanisława, widząc to założyła w 1574 r. fundację domu starców w Limanowej, zwaną „szpitalem". Przeznaczyła na ten cel dom przy ul. Krakowskiej oraz 10 krów żelaznych, mających żyć zawsze, czyli stare miały być zastępowane młodymi od nich odchowanymi. Opiekę nad tą fundacją powierzyła ówczesnemu proboszczowi limanowskiemu i radzie miejskiej. Dochód od krów miał służyć na utrzymanie „szpitala". W 1640 r. przebywało tam 10 ubogich, a liczba krów na ich utrzymanie zwiększyła się do 25 sztuk.

Akt wizytacji parafialnej z 1596 r. zawiera informacje, że wówczas do parafii limanowskiej, oprócz miasta, należały wsie: Mordarka, Jabłoniec, Stara Wieś, Rzeka, Lipowe i Sowliny. Potem Mordarka i Stara Wieś wchłonęły Jabłoniec, a Rzeka również została włączona do Starej Wsi. Znajduje się tam również informacja, że w 1596 r. istniała w Limanowej szkoła parafialna, mieszcząca się w osobnym budynku, w pobliżu kościoła. Pierwszym jej rektorem został **Wawrzyniec z Łysej Góry**. W 1630 r. **Stanisław Mytkowicz**, bakałarz Uniwersytetu Krakowskiego, pochodzący z Limanowej, ofiarował szkole dużą kwotę pieniężną (500 lub 560 zł) na utrzyma-

nie nauczyciela. Równocześnie zaznaczył, że ma to być bakałarz ze stopniem uniwersyteckim.

W II połowie XVI w. rozpowszechnił się w okolicach Limanowej arianizm, ale parafia limanowska nie dostała się pod jego wpływ.

W 1597 r. dziedzicem dóbr limanowskich został **Adauctus Jordan**, natomiast w I połowie XVII w. dziedziczką limanowską była **Beata Jordanowa**. Równocześnie zmienił się stosunek dziedziców do miasta na jego niekorzyść. Wójt już nie miał takiej władzy, jak za pierwszych Jordanów, był tylko urzędnikiem do spraw sądowych, prowadzonych przez dziedzica lub jego zastępcę.

W tym czasie w miasteczku osiedlali się nowi rzemieślnicy: rzeźnicy, płóciennicy, szewcy, był balwierz, cyrulik, nawet złotnik. Prócz tego istniał browarek mieszczański, produkujący piwo. Mieszczanie nie mieli żadnych przywilejów, byli zrównani z chłopami. Mieszkańcy miasteczka i okolicznych wsi przyjaźnili się wzajemnie, zdarzały się też związki małżeńskie mieszczańsko–chłopskie.

Po Beacie Jordanowej więcej dziedziców limanowskich o tym nazwisku nie było. W 1640 r. cały klucz limanowski nabył **Achacy Przyłęcki**, stolnik krakowski. Tak podał Franciszek Bujak w monografii *Limanowa*, natomiast ks. J. Joniec w *Historii parafii limanowskiej* (1953) pisał o nim, że był dzierżawcą tych dóbr. Nowy właściciel od razu wprowadził dyscyplinę wobec urzędników miejskich i poddanych. Ogłosił dwie ordynacje, wpisane jako akty prawne do ksiąg miejskich: jedna dotyczyła produkcji piwa przez mieszczan, a druga zawierała 13 postanowień, regulujących życie mieszkańców w jego dobrach. Przyłęcki mianował nowego wójta i ławników, nakazując im odbywać posiedzenia co dwa tygodnie w piątek. O rozpoczynającym się posiedzeniu oznajmiał dzwonek na ratuszu, albo bęben. Obecność wszystkich była obowiązkowa, w przeciwnym razie ławnicy płacili karę pieniężną. Od króla **Władysława IV** otrzymał Przyłęcki przywilej na 3 jarmarki w roku: 1 maja, 15 sierpnia i 6 grudnia. Targi zaś przeniesiono z soboty na poniedziałek, co pozwala przypuszczać, że w miasteczku zaczęli osiedlać się Żydzi. Otaczające miasteczko drewniane obwarowania oraz bramy i furtki zostały naprawione, aby można je było na noc zamykać, gdyż zdarzały się napady rabunkowe. Każdy mieszczanin musiał posiadać pod karą pieniężną rusznicę do obrony. Naprawa dróg należała do mieszczan, którzy mieli koło nich domy i ogrody. Za wynoszenie słomy na strychy groziła wysoka kara pieniężna, bo obawiano się pożaru. Przyłęcki wprowadził też przymusowe kształcenie dzieci mieszczańskich, nietypowe dla tamtych czasów.

Sam wyszukał 25 chłopców w wieku szkolnym i nie wolno ich było pod karą pieniężną odrywać od nauki do prac polowych, ani domowych. Bakałarz wraz z pomocnikiem uczyli chłopców czytać, pisać, liczyć oraz śpiewu w kościele. Otrzymywa-

li za to od miasta 560 zł czynszu (zapewne rocznie) z fundacji Stanisława Mytkowicza.

Mieszczanie mieli obowiązek produkować w swoim browarku dobre piwo, aby nadawało się również na eksport do Węgier, z czego zyski czerpał też dziedzic. Oprócz targów i jarmarków wprowadził Przyłęcki tzw. „wolnicę", czyli możliwość sprzedawania mięsa i bydła w soboty i niedziele przez przygodnych rzeźników i handlarzy. Musieli płacić za to targowe, co podnosiło dochód dziedzica. Zarobku dostarczał mu też ruch handlowy i osobowy między Nowym Sączem a Krakowem. Przejeżdżający przez Limanową zatrzymywali się w domu zajezdnym, w 1644 r. okradziono tam kupca krakowskiego **Andrzeja Iskrę**. Przyłęcki miał głównie na celu wzbogacenie się, ale pomimo to za jego rządów wzrósł dobrobyt w mieście.

W II połowie XVII w. Limanową i okoliczne wsie, należące do tego klucza dóbr odziedziczyło kilku spadkobierców, a potem przez dłuższy okres przechodziły z rąk do rąk. Limanową i Starą Wieś posiadała **Katarzyna Brzechwina**, żona **Kaspra Brzechwy**. Ona podpisała prezentę w 1652 r. ks. **Stanisławowi Tomaszewskiemu** na proboszcza limanowskiego. Jej mąż Kasper przekazał w 1666 r. 210 zł na klasztor franciszkański w Nowym Sączu. Sowliny odziedziczyła w 1655 r. **Katarzyna Gabońska**, żona **Stanisława Gabońskiego**, natomiast Lipowe było własnością **Teodora Trzecieskiego**.

W 1687 r. dobrami limanowskimi zarządzała **Katarzyna Lipska** i ona to w imieniu dziedziców Limanowej, Starej Wsi i Mordarki podpisała prezentę ks. **Janowi Świtkowskiemu** na proboszcza parafii limanowskiej. Równocześnie prezentę tę podpisał Teodor Trzecieski, jako właściciel Lipowego oraz Sowlin, które kupił od Gabońskich. Lipscy i Trzeciescy były to znane rody sądeckie.

Teodor Trzecieski prowadził długi i zacięty spór z proboszczem limanowskim ks. **Sebastianem Liskiewiczem** o rolę więckowską przylegającą do gruntów plebańskich. Kazał zburzyć budynki wystawione przez wymienionego proboszcza na terenie spornym. Proces sądowy w tej sprawie toczył się w Bieczu, Lublinie, a na koniec w krakowskim sądzie biskupim.

W okresie potopu szwedzkiego (1655–1660) Limanowa podupadła, gdyż Szwedzi wycofując się po walkach w Nowym Sączu, przechodzili przez miasto w kierunku Krakowa i Wiśnicza, rabując ludność, paląc domy. Z powodu tych wydarzeń jedną z ulic nazwano Szwedzką.

W początkach XVIII w. Limanową i Starą Wieś kupił **Michał Szwarcenberg–Czerny**, podstoli wołyński. Od króla **Augusta II Mocnego** otrzymał w 1713 r. przywilej na 12 jarmarków w roku, jednak nie wpłynęło to na rozwój miasta. Znaczną część jego dóbr stanowiły lasy. Nowi osadnicy karczowali drzewa, tworząc w tym miejscu grunty uprawne. W ten sposób powstały osady, posiadające własne nazwy: Wola, Ma-

jerz, Golców. W 1727 r. figurowały jako samoistne wsie, ale z czasem zostały włączone do Starej Wsi, podobnie jak Rzeka. Dziedzic, chcąc zachęcić do osiedlania się na Woli, zwolnił ludność od pańszczyzny na tym terenie na okres 50 lat.

W I połowie XVIII w. właścicielami Lipowego i Sowlin byli dwaj synowie Teodora Trzecieskiego: **Michał** i **Antoni**. Mordarka zaś należała do **Teresy z Lipskich Dębińskiej**. Dzierżawił ją **Tomasz Gurzyński**, a potem jego synowie: **Jan** i **Walenty**.

W 1733 r. trwały walki o tron polski, pomiędzy **Augustem III Sasem** a **Stanisławem Leszczyńskim**. Przez tereny Polski południowej przechodziły wojska rosyjskie i saskie, stacjonowały przez pewien czas w Lubowli i w Czorsztynie, a stamtąd podchodziły ku Limanowej, zabierając od ludności żywność, bydło, konie, oraz pieniądze na żołd. Następstwem tego był głód, a potem epidemia cholery w 1737–1738 r. Zmarło wówczas ok. 100 osób na tę chorobę, co stanowiło 2/5 ogółu ludności. Ówczesny właściciel Limanowej i Starej Wsi — **Andrzej Szwarcenberg–Czerny** — podarował probostwu limanowskiemu kawałek gruntu wraz z budynkami pod Jabłońcem jako votum za ocalenie od zarazy. Po 1740 r. jego majątkiem zarządzała **Anna Wojakowska**, w imieniu małoletniej **Salomei Czerny**, widocznie dziedzic ten zmarł. Zmarł również Michał Trzecieski, właściciel Lipowego i Sowlin. Wdowa po nim, **Salomea**, przekazała probostwu limanowskiemu na własność rolę więckowską w dniu 15 lipca 1749 r., o którą przez długie lata toczył się proces sądowy. Sowliny wydzierżawił od niej **Feliks Sędzimir** z Łukowicy.

Od 1752 r. dziedzicem całego klucza limanowskiego został **Ignacy Dydyński**, podstoli liwski i starosta krzeczowski, krewny Lipskich i Dębińskich. Część majątku prawdopodobnie odziedziczył poprzez żonę, z domu **Lipską,** a pozostałe wsie wykupił od dotychczasowych właścicieli. Oprócz miasteczka Limanowej posiadał wsie: Mordarkę, Lipowe, Sowliny z Czachurszczyzną i Starą Wieś.

Limanowa i okoliczne wsie zaczęły powoli rozwijać się po epidemii w 1738 r., a tymczasem nastąpiła nowa klęska — wielki pożar miasta. Franciszek Bujak w monografii *Limanowa* podał, że pożar wybuchł 15 kwietnia 1769 r., natomiast ks. **Szczepan Długoszewski**, ówczesny proboszcz limanowski zapisał w kronice parafialnej, że pożar był wcześniej, przed 1 kwietnia. Ksiądz J. Joniec w *Historii parafii limanowskiej* podał, że miasto Limanowa spaliło się 14 marca 1769 r. Ogień strawił wszystkie budynki drewniane, kościół, plebanię, szkołę oraz obwarowanie miasta. Szpital Jordanowej spłonął już w 1727 r. Ksiądz Długoszewski nie mogąc sobie poradzić w tym nieszczęściu, opuścił Limanową, zostając kapelanem konfederatów barskich. Do Limanowej nie powrócił, może poległ podczas walk, albo został wywieziony przez władze carskie na Sybir.

Przyczyna pożaru nie jest znana. Z płonącego kościoła wyniesiono figurę Matki

Bożej Bolesnej, znajdującą się obecnie w Bazylice Mniejszej w Limanowej, w wielkim ołtarzu, oraz zabytkową chrzcielnicę. Ta wspaniała drewniana Pieta została wyrzeźbiona w XIV w., a przywieźli ją jej czciciele z Węgier do Polski w okresie reformacji, kiedy z tamtejszych kościołów wyrzucano figury i obrazy. Jeden z dziedziców wybudował dla niej kaplicę w Mordarce, a potem została przeniesiona do kościoła w Limanowej, jako cudowna figura, otaczana już w Mordarce wielką czcią.

Po pierwszym rozbiorze Polski (1772) klucz limanowski przeszedł pod panowanie Austrii, stając się częścią tego państwa. Zakończyła się złota wolność szlachecka, istniejąca za dawnych królów polskich. Szlachta musiała podporządkować się władzy centralnej w Wiedniu, w dodatku została wykorzystana do ucisku chłopów, celem przysparzania dochodów zaborcy.

Zaczęto powoli odbudowywać Limanową po pożarze, na miejscu spalonych budynków drewnianych, wzniesiono murowane, w większości piętrowe.

Nowym proboszczem limanowskim został w 1774 r. ks. **Szczepan Duszyński**. Tak podaje kronika parafialna w Limanowej oraz ks. J. Joniec w *Historii parafii limanowskiej*, natomiast Franciszek Bujak w monografii *Limanowa* napisał, że był to ks. Stefan Duszyński. Prezentę podpisali mu dwaj synowie Ignacego Dydyńskiego: **Józef** i **Antoni**. Proboszcz ten od razu zabrał się za budowę nowego kościoła. Dziedzic, Ignacy Dydyński, dostarczył drzewa na budowę tego obiektu, natomiast koszty robocizny i wyżywienia robotników pokrywał proboszcz. Pracowali tam również chłopi z limanowskiej parafii, odrabiając w ten sposób pańszczyznę. W 1777 r. stały już ściany kościoła, a w 1779 r. ukończono budowę wieży. Proboszcz Szczepan Duszyński zbudował również budynki plebańskie oraz założył nowy cmentarz parafialny w 1800 r., gdyż stary koło kościoła już nie wystarczał.

W 1780 r. zmarł dziedzic Ignacy Dydyński, a jego dobrami podzielili się synowie. Starszemu, Józefowi, przypadły wsie: Mordarka, Lipowe, Sowliny z Czachurszczyzną, a poza parafią limanowską miał jeszcze Walową Górę. Młodszy Antoni odziedziczył Limanową i Starą Wieś. Za ich rządów wzrósł ucisk w stosunku do poddanych. Już w 1780 r. miasto Limanowa wniosło na nich skargę do rządu austriackiego o zabranie lasu, powiększenie pańszczyzny, powiększenie czynszu od domów oraz pozbawienie praw wyrobu piwa i wódki. Trzy pierwsze sprawy miasto z nimi wygrało, oprócz ostatniej, dotyczącej piwa i wódki. Widocznie dziedzice Dydyńscy posiadali już browar przy starowiejskim dworze (dzisiaj Limanowa) oraz gorzelnię.

W Limanowej w tym czasie coraz więcej osiedlało się Żydów. Stopniowo przejmowali handel, ukierunkowany na chłopów, prowadzili karczmy, a prócz tego byli rzeźnikami i garbarzami. Handel przynosił im duże dochody, dlatego stać ich było na kupno własnych

domów, pożyczali też pieniądze zainteresowanym osobom na wysoki procent, wpisując im dług na hipotekę w sądzie, co prowadziło często do utraty majątków.

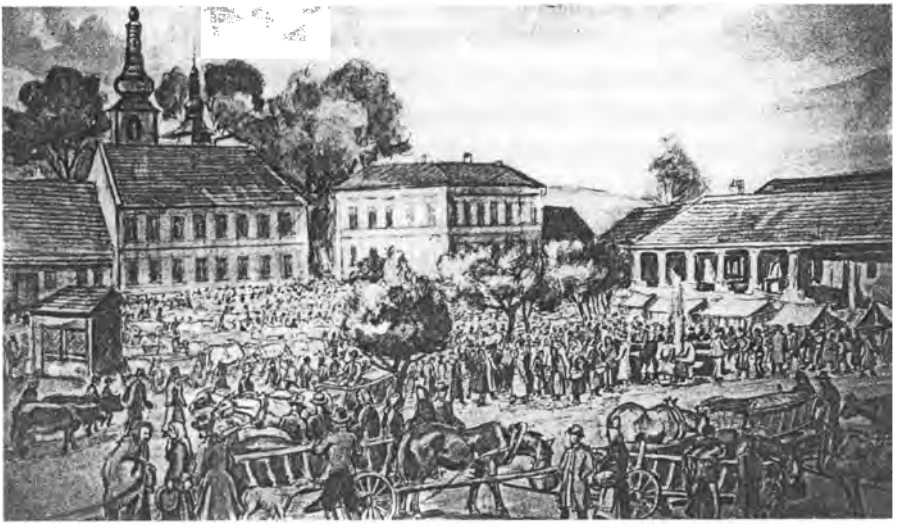

Dawna Limanowa sprzed I wojny światowej. Obraz artysty malarza Maksymiliana Brożka z Limanowej

Pod koniec XVIII w. odbywało się w Limanowej 18 jarmarków roku. Handlowano bydłem, szczególnie końmi i wołami, sprzedając je na Śląsk i do Ołomuńca. Pędzili je tam zatrudnieni przez kupców gończy, zwykle każdemu przydzielano 10 par wołów.

W publikacji *Z pamiętnika Antoniego Józefa Nogi Marsa: dotyczącej działalności w Galicji w drugiej połowie ubiegłego stulecia* Nowy Sącz 1905, którą przygotował do druku Teofil Wiadomski, występuje informacja, że jeden z dziedziców Dydyńskich wywołał wielki skandal, co doprowadziło do sprzedaży jego dóbr ziemskich. Imienia jego **Antoni Józef Mars** nie podał, ale wymienił, że oprócz Limanowej posiadał wsie: Stara Wieś, Sowliny z Czachurszczyzną oraz Marciszówkę, Źródłówkę, Majerz. Z tego wynika, że chodziło o Antoniego. Ten Dydyński był już starym kawalerem, kiedy poznał jakąś piękną panią i dużo czasu spędzał z nią we dworze, może zamierzał założyć rodzinę? Bywał też na balach w sąsiedztwie i podczas jednego z nich pewna młoda panienka zażartowała sobie z niego, nazywając go „domatorem". Widocznie uznał to za przytyk do pięknej pani, mieszkającej z nim we dworze, bo obraził się bardzo. Na najbliższą uroczystość rodzinną zaprosił do starowiejskiego dworu tę panienkę z rodzicami. Przyjechali bez córki, wówczas Dydyński posłał po nią powóz, a woźnicy nakazał, aby w drodze powrotnej zatrzymał się przed stodołą. Siłą wprowadził dziewczynę do stodoły i bił tak nielitościwie, że wielkie krzyki

ofiary sprowadziły gości dworskich pod ten budynek. Dydyński wtedy wsiadł na konia i uciekł. Za ten czyn dostał się do więzienia w Wiśniczu, ale stamtąd udało mu się zbiec do Olkusza w Królestwie Kongresowym (zabór rosyjski). Swoje dobra zostawił pod opieką wdowca **Wincentego Dunikowskiego**, który w 1818 r. kupił Mordarkę od Józefa Dydyńskiego, jego brata. Lipowe wtedy kupili **Srokowscy**, a potem w 1831 r. kupił je proboszcz limanowski ks. **Jan Duszyński** od **Aleksandra Srokowskiego** i w 1834 r. ofiarował probostwu limanowskiemu. Tym razem rozpadł się na zawsze klucz limanowski. Antoni Dydyński nie zamierzał wracać do Limanowej, dlatego swój majątek sprzedał hr. **Jezierskiemu** i jego siostrze, mieszkającym w Olkuszu. Hrabia Jezierski pozostał w Olkuszu, natomiast dobra limanowskie przejęła jego siostra. Po przyjeździe wyszła za mąż za Wincentego Dunikowskiego. W 1822 r. Mordarkę przejęła jedyna córka Dunikowskiego, **Ewa**, wraz z mężem **Józefem Wielogłowskim**, **Dunikowscy** zaś zamieszkali w limanowskim dworze. Oprócz limanowskiego majątku Dunikowska posiadała jeszcze wieś Łętownię koło Przemyśla. Wkrótce zmarł hrabia Jezierski w Olkuszu, a jego małoletnią córkę **Antoninę** wzięła na wychowanie tamtejsza rodzina. Dunikowska była bezdzietna, dlatego swoje limanowskie dobra zamierzała zapisać w testamencie Antoninie. Dunikowski natomiast chciał, żeby majątek żony otrzymali Wielogłowscy z Mordarki. Podstępnie kazał zawiadomić żonę, że Antosia umarła, narażając ją na wielkie zmartwienie. W tej sytuacji Dunikowska zapisała swój majątek wnuczce swego męża **Marii z Wielogłowskich Paszycowej**, której była chrzestną matką. Po jakimś czasie przyjechał do Dunikowskiej młody szlachcic, **Paweł Żelechowski** herbu Ciołek, syn właściciela wioski Żeszotany pod Wieliczką, z prośbą o rękę Antoniny. Wyszło wówczas na jaw fałszerstwo o jej śmierci. Dunikowska zezwoliła na ślub, dając na razie Antosi wieś Łętownię. Równocześnie potajemnie zmieniła testament, dodając do niego informację, że gdyby Maria Paszycowa nie miała potomstwa, wówczas majątek limanowski mają dziedziczyć Antonina i Paweł Żelechowscy, bądź ich spadkobiercy. Paszycowa jako dziedziczka Limanowej podpisała w 1837 r. prezentę ks. **Janowi Werpesze** na proboszcza limanowskiego. Mąż Paszycowej, pochodzący z Marcinkowic zmarł niedługo po ślubie, oraz ich jedyna córka. Po jakimś czasie powtórnie wyszła za mąż, za **Feliksa Stobnickiego** z Łyczany (woj. nowosądeckie), byłego oficera wojska polskiego w Warszawie. Nie mieli potomstwa, dlatego po śmierci Dunikowskiej byli zaszokowani, kiedy dowiedzieli się o zmianie testamentu. Feliks Stobnicki brał udział w przygotowaniach do powstania galicyjskiego w 1846 r., z tego powodu przebywał przez jakiś czas w więzieniu nowosądeckim, ale okoliczności jego aresztowania nie są znane. Prawdopodobnie był tam więziony również jego brat **Konstanty Stobnicki** (1802–1847), gdyż niedługo potem zmarł na puchlinę wodną. Wielu więźniów zapa-

dało na tę chorobę w zimnych, mokrych lochach królewskiego zamku w Nowym Sączu m. in. ks. **Michał Głowacki** z Poronina (zmarł w 1846 r.).

Po wyjściu z więzienia Feliks Stobnicki był przewodniczącym Rady Narodowej Obwodu Sądeckiego, kandydował na posła w wyborach w 1848 r., w okręgu nowotarskim. Wybory wygrał, ale zostały unieważnione, bo władze austriackie nie chciały, aby posłem był oświecony szlachcic. Starosta tarnowski, **Breinl**, często mawiał, że panowie są niepotrzebni, bo chłopów i austriackich urzędników starczy na zasiedlenie całej Galicji. Podobne zdanie o panach miał starosta sądecki, **Karol Bochyński** — wierny sługa Austrii. W 1848 r. prowadził agitację, żeby panów na posłów nie wybierać, przez co zaszkodził Stobnickiemu u władz austriackich. Po ciężkich przejściach w okresie rabacji i po przegranej w wyborach Feliks Stobnicki wraz z żoną wyjechał do Krakowa. Wiedzieli, że niedługo utracą limanowski majątek, bo pozostali bezdzietni, w dodatku w 1848 r. zniesiona została pańszczyzna, a wynajmowanie chłopów do pracy było nieopłacalne. Przed wyjazdem do Krakowa Stobniccy przekazali administrację swojego majątku mandatariuszowi **Sztorowi**, pobierając od niego czynsz 1600 zł reńskich. Sztor wydzierżawił pola chłopom, a browar Żydowi za 600 złr. rocznie, budynki natomiast niszczały.

Tymczasem pomarli w Łętowni Paweł i Antonina Żelechowscy, zostawiając sześcioro dzieci: **Florentynę Borowską, Franciszkę Marsową, Rozalię Bartkiewiczową**, syna **Władysława** oraz **Witolda i Kazimierza** — jeszcze małoletnich (opiekunem ich został **Bartkiewicz**). Im to właśnie przypadł do podziału limanowski majątek Stobnickich. Sprzedali wówczas Łętownię za 24 000 złr., podzielili się pieniędzmi, następnie przyjechali do Limanowej. Stobniccy szukali sposobu, żeby odebrać Żelechowskim limanowski majątek, albo przynajmniej zapewnić sobie od nich rentę na utrzymanie w Krakowie. Zarządali, aby im płacono 5000 rubli do 16 lipca każdego roku, a w razie niedotrzymania tego terminu, dodatkowo 15 000 rubli samej kary, w przeciwnym razie będą usunięci z Limanowej. Taką niekorzystną umowę ze Stobnickimi zawarli: Bartkiewicz, mąż Rozalii Żelechowskiej i **Jan Borowski**, mąż jej siostry Florentyny. Antoni Józef Mars zaś zawarł korzystniejszą umowę ze Stobnickim na piśmie, według której miał mu płacić 4500 rubli rocznie bez żadnych kar. Nie przyznając się do tego wyjechał z Limanowej. Tymczasem Bartkiewicz z Borowskim tak marnie gospodarzyli w limanowskich dobrach, że nie mieli pieniędzy na podatki, na rentę dla Stobnickich, ani na remont budynków, jeszcze popadli w długi. Przyjechali wtedy do Antoniego Józefa Marsa, administratora majątku hr. Potockiego w Chrząstowie. Wówczas wszyscy trzej udali się jeszcze raz do Stobnickich w Krakowie, aby spisać nową umowę. Według niej limanowski majątek mieli przejąć czterej współwłaściciele: Bartkiewicz, Borowski, Władysław Żelechowski i Mars. Stob-

nickim mieli płacić dożywotnio 4500 rubli rocznie, natomiast ich spadkobiercy mieli w przyszłości otrzymać 20 000 złr. Po podpisaniu takiego kontraktu Antoni Józef Mars przyjechał w 1853 r. na stały pobyt do Limanowej.

Antoni Józef Mars w 1904 roku

Urodził się w 1819 r. w Strzyżowicach, pow. olkuski, w Królestwie Polskim (zabór rosyjski). Był to rodowy majątek Marsów, którzy osiedlili się tam w XVI w., pieczętując się herbem Noga. Rodzicami jego byli: **Kasper Mars** i **Elżbieta z Chodakowskich**. Matka zmarła gdy miał 12 lat, ojciec ożenił się powtórnie, dlatego jego dzieciństwo nie było zbyt szczęśliwe. Ukończył w Krakowie Gimnazjum św. Anny, a potem przez dwa lata studiował filozofię, przez dwa lata medycynę oraz fizykę, lecz żadnego z tych kierunków nie ukończył. Jego stryj **Antoni** miał majątek w Malinowicach, a był bezdzietny. Przyjechał do niego z Krakowa i pomagał mu w gospodarstwie. Stryj wysyłał go w różnych sprawach do Krakowa, gdzie poznał Franciszkę Żelechowską z Łętowni. Ona też często bywała w Krakowie, gdyż jej stryj, **Kwiryn Żelechowski**, miał majątek w pobliskich Dębnikach. Pobrali się w Łętowni, niedługo przed rabacją w 1846 r., dlatego Mars musiał przymusowo wyjechać na czas walk, jako obywatel zaboru rosyjskiego. Wrócił do stryja w Malinowicach, a stamtąd wnet wyjechał do majątku Koniecpole hr. **Henryka Potockiego**, gdzie przez 3 lata był sekretar a przez 5 lat zarządzał całymi dobrami hrabiego. Majątek ten tak dźwignął z upadku i oczyścił z różnych zobowiązań hipotecznych, że w niedługim czasie zaczął przynosić zyski. Po pięciu miesiącach przyjechała do Chrząstowa jego żona Franciszka. Tam urodziło im się dwoje dzieci: **Augustyna** i **Antoni**. W 1853 r. przyjechali do Limanowej na stały pobyt. Mars spłacił Bartkiewiczowi i Władysławowi Żelechowskiemu ich udział w majątku, przez co stał się właścicielem 2/3 majątku, czyli Limanowej, Starej Wsi i trzech folwarków, Borowski natomiast posiadał Sowliny z Czachurszczyzną i Majerz, który niedługo potem sprzedał. W podobnym stosunku jako dwaj właściciele majątku wpłacali rentę Stobnickim. Cały limanowski majątek wyceniono na 30 000 złr. i małoletni Żelechowscy mieli w przyszłości otrzymać 12 000 złr.

Po 30 latach zmarli w Krakowie Stobniccy oraz żona Jana Borowskiego, Florentyna. Zmarła również druga żona Borowskiego i wówczas tak ciężko przeżywał obydwa te nieszczęścia, że w podeszłym wieku wstąpił do seminarium duchownego w Tarnowie. Po ukończeniu otrzymał święcenia kapłańskie, zostając proboszczem w Mszanie. Po śmierci proboszcza limanowskiego, ks. Jana Werpechy, w 1877 r., zajął jego miejsce w Limanowej. Zmarł w 1890 r., a probostwo po nim objął młody energiczny ks. **Kazimierz Łazarski**, rodem z Jordanowa.

Mars kupił od Borowskiego Sowliny z Czachurszczyzną za 50 000 złr., wypłacił należność spadkobiercom Stobnickich, **Witoldowi** i **Kazimierzowi Żelechowskim**, którzy osiągnęli pełnoletniość oraz trojgu dzieci Borowskiego przekazał 20 000 złr. Te kwoty same mówią za siebie, świadczą, że Antoni Józef Mars miał talent do gospodarowania. Poczekał też aż skończy się umowa dzierżawy browaru przez Żyda (w 1865 r.), po czym sam zabrał się za produkcję piwa. To dało mu potrzebne kwoty na spłacanie współwłaścicieli. Franciszek Bujak w monografii *Limanowa* nazwał limanowskich Marsów przedsiębiorczą rodziną. W Limanowej urodziło się Marsom jeszcze kilkoro dzieci: **Stanisław**, **Maria**, **Zygmunt**, **Kazimierz** i **Tadeusz**. O potomstwie Antoniego Józefa Marsa i ich rodzinach pisałam w osobnej publikacji *Limanowska rodzina Marsów*, zamieszczonej w *„Almanachu Sądeckim"* 1993, nr 4.

W Limanowej czekała na Antoniego Józefa Marsa ciężka praca, gdyż były czasy to po minionej rabacji i Wiośnie Ludów. W swoim *Pamiętniku…* tak o tym pisze:

> *„W 1846 r. zbuntowani chłopi napadali na dwory, właścicieli mordowali, a zabitych i pobitych odwozili władzom rządowym i cyrkularnym. Co było we dworach to zabierali lub niszczyli — i tak pozabierali bydło, konie i różne inwentarze rolnicze.*
>
> *Ci co pouciekali, w r. 1847 i 48 przystępowali do organizacji rewolucyjnych w Krakowie. W r. 1849 i 1850 ze setkami aresztowanych do Lwowa przewożonych, odbywały się dochodzenia, spisywane były protokoły, zasądzeni byli niektórzy na śmierć, inni na odsiedzenie kary w kryminale i dopiero w skutek amnestyi reszta wypuszczonych została.*
>
> *W tym czasie zniesiona została pańszczyzna. Lud był zdemoralizowany, rozpity, całe więc przestrzenie obszarów dworskich nikt nie uprawiał, wszystkie prawie leżały odłogiem. Wracający do swoich posiadłości nie mieli pieniędzy, wynagrodzenia za zniesioną pańszczyznę nie dostali, bo wprzódy przeprowadzone być musiały dochodzenia, komu się co należeć może. Właściciel musiał wpierw oczyścić z długów hipotekowanych swoją posiadłość, aby wydzielone chłopom*

Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. J. Szujskiego w Nowym Sączu Region

grunta nie były były długami obciążone. Wracający nie mieli pieniędzy na kupno koni, bydła, inwentarzy, nie mieli czem najmywać ludzi do roboty,

Przez ubiegłe też lata nikt prawie nie płacił podatków, bo płacić nie mogli, a nawet nie wiedzieli ile się od kogo należy z gruntów, które dawnym właścicielom pozostały, a które otrzymali chłopi.

Rząd także nie wiedział od kogo co żądać, jak i gdzie zaległe podatki egzekwować. Do tego powstanie rewolucyjne na Węgrzech tak nadzwyczajnie skarb państwa wyczerpały, tak kredyt państwa austryackiego zachwiały, że ten, nie mając dochodów z podatków w Galicyi, uciec się musiał do żądania pożyczek od osób i gmin w Galicyi, w sumie kilka i kilkanaście tysięcy.

Brak więc pieniędzy w skarbie państwa, zaległe podatki spowodowały Ministeryum do zarządzenia w roku 1856, że na podstawie ustawy, przeprowadzone będą w Galicyi oszacowania dochodów z gruntów z początkiem 1858 roku".

Mars również przejął dwór i budynki gospodarcze mocno podniszczone, wymagające remontu. Równocześnie wspomina w swoim *Pamiętniku…*, że w XVIII w. mieszkali w nim dziedzice Dydyńscy. Franciszek Bujak pisał o tym dworze w monografii *Limanowa*, ale dotyczyło to czasów, kiedy zamieszkiwała w nim rodzina Marsów. Dokładnie opisał, jakie budynki były w Limanowej za dziedziców Jordanów i mieszczące się w nich instytucje, ale żaden z nich nie był mieszkaniem dziedzica. Podał za to ważną informację, że Limanowa była ogniskiem klucza dóbr Jordanów, a w takim razie wszystko na to wskazuje, że mieszkali już wówczas w starowiejskim dworze (obecnie Limanowa), gdyż stamtąd najbliżej mieli do kościoła oraz do założonego przez siebie miasta. Wygląda na to, że dwór był od razu murowany, bo nie ma nigdzie wzmianki, żeby spłonął jak kościół (potop szwedzki, pożar miasta w 1769) lub pochylił się jako budynek drewniany ze starości i któryś z dziedziców musiał wybudować nowy. Na pewno był podczas remontów przebudowany w późniejszych wiekach, aby zwiększyć jego powierzchnię użytkową np. poprzez dobudowanie pomieszczeń na poddaszu. W ten właśnie sposób zwiększono powierzchnię użytkową nie istniejącego już dzisiaj dworu w Mordarce. W czasie rabacji w 1846 r. dwór nie ucierpiał, bo Limanowa obroniła się przed tłumem chłopów, którzy podeszli od strony Sowlin, ale za to został bardzo zniszczony podczas bitwy na pobliskim Jabłońcu w dniach 8–11 grudnia 1914 r., stoczonej pomiędzy wojskami rosyjskim a austro–węgierskimi. Zostały również zniszczone dworskie budynki gospodarcze, wtedy granat wpadł do stajni i zabił 16 krów.

Mieszczący się wówczas we dworze sztab wojsk austriackich, był zmuszony go opuścić,

Jeżeli prześledzimy historię całego klucza limanowskiego, to wypływa fakt, że kto kupił Limanową, bądź otrzymał ją w spadku, ten posiadał również Starą Wieś, bo tam był dwór — siedziba dziedzica. W I połowie XIX w. Limanowa należała do obwodu sądeckiego, natomiast w 1856 r. na skutek nowego podziału administracyjnego w Galicji została miastem powiatowym. W tym też czasie powstała w Krakowie „Organizacja pokojowa", a następnie jej koła terenowe w poszczególnych powiatach. Hasłem jej były: „oświata, moralność, wolność, narodowość". Wprowadzenie tego w życie miało podnieść kraj duchowo i materialnie. W powiecie limanowskim „Organizacji pokojowej", założonej w 1856 r. przewodniczył Antoni Józef Mars, a zastępcą jego był Jan Borowski, właściciel Sowlin. Pracy było dużo, bo rolnictwo stało na niskim poziomie, przemysł miejscowy prawie nie istniał, a handel przejęli Żydzi. Od 1841 r. malała wciąż liczba rzemieślników w Limanowej, z powodu zbyt dużych podatków, braku oświaty i przedsiębiorczej energii. Pod koniec XIX w. istniała w Limanowej tylko pięcioklasowa szkoła powszechna, w której uczyło sześciu nauczycieli. Domy w mieście budowali cieśle i murarze z najbliższych wsi, natomiast coraz więcej mieszczan zajmowało się rolnictwem poza miastem na wydzierżawionej ziemi z obszaru dworskiego w Starej Wsi. Od 1865 r. w dworskim majątku zaczął gospodarować sam właściciel, wówczas dzierżawili ziemię od chłopów. Wielu mieszczan utrzymywało się ze zbierania szmat, dziennego zarobku i z żebractwa. Bieda doprowadziła wielu z nich do apatii i rezygnacji, a następstwem tego było pijaństwo i próżniactwo. Należało pilnie rozwinąć pracę kulturalną, podnieść tych ludzi z upadku, wskazać im cel, obudzić myśl i wolę. Nieliczni rzemieślnicy sami sprzedawali swoje wyroby na targach, bo żadne pośrednictwo w zbycie towarów nie istniało. Młodzi ludzie wywodzący się głównie z rodzin komorników i wyrobników, wyjeżdżali za granicę w poszukiwaniu pracy, przeważnie do Stanów Zjednoczonych. Tak samo ubożała szlachta, jeszcze w 1852 r. było w powiecie limanowskim 51 rodzin szlacheckich, a w 1900 r. pozostało ich tylko 16. Szlachta limanowska rozwijała życie towarzyskie i kulturalne w założonym w 1853 r. kasynie. Odbywały się tam zabawy karnawałowe, odczyty, wystawiano sztuki teatralne oraz zgromadzono księgozbiór. Na te imprezy przybywała młodzież od Gorlic i z okolic Krakowa.

W 1859 r. Austria prowadziła wojnę z Włochami, która zupełnie ją zubożyła, a przez to wzrósł ucisk wobec poddanych w Galicji. Wtedy to kasyno opustoszało, nieliczni tylko jego członkowie korzystali jeszcze z biblioteki.

Chłopi również żyli w nędzy, bo niewłaściwie uprawiali swoją ziemię, ponadto trwali w nałogu pijaństwa. Żydzi dostarczali im potrzebnych narzędzi rolniczych, po-

życzali pieniędzy, a za to zabierali wszystko od nich, co ci wypracowali w pocie czoła.

Największe zyski Żydzi czerpali z handlu zbożem i alkoholem. W latach 1880–1890 żyło już w Limanowej 130 rodzin żydowskich, a połowa z nich mieszkała we własnych domach. Czterech spokrewnionych ze sobą Żydów tworzyło spółkę, która wydzierżawiała od browaru limanowskiego sprzedaż alkoholu. Każdy z nich miał szynk w mieście, a prócz tego prowadzili 3 szynki poza miastem. Mieli też 4 winiarnie, gdzie sprzedawano wino i herbatę. Jeszcze w II połowie XIX w. chłopi byli przymuszani przez dziedziców do wykupywania wódki.

Wszystkie sklepy w Limanowej były własnością Żydów. Sprzedawano w nich towary po zawyżonych cenach, co wywoływało oburzenie wśród ludności. Zarobione poprzez handel pieniądze, wypożyczali Żydzi zainteresowanym ludziom w kantorach na 30%, wpisując często zawyżone sumy na ich hipoteki, przez co spłacenie tych długów było nieraz niemożliwością. Pożyczki u Żydów zaciągali chłopi i szlachta już w 1823 r., co prowadziło do utraty nawet dawnych majątków rodowych, wywłaszczanie było na porządku dziennym.

W sądach latami toczyły się kosztowne procesy, rujnujące finansowo ludność. Powołana do życia w 1856 r. „Organizacja pokojowa" na czele z Antonim Józefem Marsem miała z czym walczyć.

Mars zajął się od razu sądownictwem, wprowadzając „sądy polubowne" i „sądy pokoju". Po zapoznaniu się z konfliktem, proponowano dwom zwaśnionym stronom warunki ugody i jeśli zostały przyjęte, proces umarzano, w przeciwnym razie sędzia sam wydawał wyrok.

W Nowym Sączu został założony „Dom rolniczo–komisowy" pod firmą Józef Mars i Spółka. Wspólnikiem był **Konstanty Pieniążek**, prawdopodobnie z Łososiny Górnej. Później do tej spółki przystąpiło jeszcze 30 innych obywateli. Mars wynajął lokal, zatrudnił dwóch urzędników, następnie wydał odezwę do krajowych i zagranicznych firm, aby przysyłały swoje wyroby do sprzedaży. Rozwiązywano tam wszelkie sprawy rolników, pośrednicząc w zbycie ich produkcji rolnej. Niespodziewanie nadszedł z Krakowa rozkaz zamknięcia tej firmy i wówczas starosta sądecki, **Kalitowski**, doradził Marsowi, aby otworzył ją ponownie pod inną nazwą. Niedługo potem Mars otworzył w Nowym Sączu „Dom Zleceń".

W związku z przygotowywanym powstaniem styczniowym krakowska „Organizacja pokojowa" przeistoczyła się w Ławę Krakowską pod kierownictwem **Alfreda Szczepańskiego**. Powstały również jej prowincjonalne koła, które przeszły na usługi powstania. A. J. Mars tak napisał w swoim *Pamiętniku*:

„Z tą chwilą nastąpiła bardzo ważna zmiana w stosunkach „Domu Zleceń". Dotychczasowy ekonomiczny kierunek, tak piękne dają-

cy owoce, musiał zejść na drugi plan — na czoło wysunęła się konieczność popierania narodowego powstania. Wobec zaszłego faktu „Dom Zleceń" stanął na usługi powstańców. Pod pozorem wysyłek z towarami, szły pod fikcyjnymi adresami do obozu, ładowne paki, przysyłane z Węgier z bronią i amunicją, my zaś wysyłaliśmy różne wyroby ze skór, ubrania, etc.".

Rząd austriacki przeprowadzał w „Domu Zleceń" rewizje, bo otrzymywał anonimowe denuncjacje, ale niczego nie znaleziono. Pomimo to A. J. Mars został wezwany przed sąd wojenny do Krakowa, gdzie śledztwo trwało kilka miesięcy, dopiero na skutek amnestii dla więźniów politycznych został zwolniony. Dalsze postępowanie w tej sprawie toczyło się w sądzie w Nowym Sączu, a finałem jego było zamknięcie „Domu Zleceń". Odbiło się to dotkliwie na majątku Marsa, ponieważ wcześniej zaciągnął kredyt na cele powstania u krakowskiego bankiera **Kirchmajera**, na sumę 20 000 złr. Wszystkie weksle sam podpisał, więc musiał spłacać całą tę sumę, pracując na to w swoim majątku kilka lat.

„Tak runęła instytucja, która była dobrodziejstwem i dźwignią materyalną szerokich warstw ludności, a pod wpływem wrogich rządów i braku solidarności, padając przygniotła mnie swoim ciężarem" — napisał tak w swoim *Pamiętniku…*

W 1858 r. rząd austriacki rozpoczął wspomnianą już wcześniej klasyfikację gruntów, a na jej podstawie miała być obliczona wysokość podatków w Galicji. Posłano w teren 200 ludzi, którzy nie mieli w tych sprawach doświadczenia. Zawyżali dochody z gospodarstw, aby podatki były jak największe. Ich prace śledził A. J. Mars, a swoje spostrzeżenia zgłaszał do władz austriackich. Wydał też broszurkę pt. *Uwagi nad czynnościami katastralnemi*, Nowy Sącz 1862. Broszura wywołała ogólne oburzenie i wówczas prace komisji unieważniono. Po dwóch latach rząd powołał nową komisję do klasyfikacji gruntów, ale A. J. Mars odkrył, że urzędnicy ci otrzymali tajną instrukcję, aby ich ustalenia nie były niższe od poprzednich. Ponownie protesty Marsa doprowadziły do rozwiązania drugiej komisji. Za trzecim razem rząd austriacki powołał dwie komisje: rządową i włościańską na czele z A. Józefem Marsem. Obydwie te komisje pracowały oddzielnie, jednak na koniec doszły do porozumienia i wspólnie tak obniżono dochody z gospodarstw, że w 1904 r. podatek z gruntów w Galicji wynosił 9 i pół miliona, natomiast Czechy, Morawy i Śląsk płaciły 25 milionów, chociaż nie miały lepszych gruntów, a obszarem dorównywały Galicji.

Tymczasem rząd austriacki nie mając podatków z Galicji, wysłał w 1859 r. swoich urzędników do właścicieli ziemskich i gmin, aby przymuszali ich do udzielenia pożyczek na rzecz rządu austriackiego, które trzeba było zapłacić w 10 ratach kwartal-

nych. Groziło to szlachcie ruiną materialną, bo po rabacji w 1846 r. znalazła się ona w trudnych warunkach. A.J. Mars chcąc ratować właścicieli ziemskich, ogłosił w najbliższych okolicach, że jeśli ktoś z zadeklarowanej kwoty zapłaci dwie raty, to on spłaci za niego pozostałe osiem rat. Do limanowskiego dworu zjechało 324 właścicieli ziemskich, wyrażających na to zgodę. Mars przykładowo podał, że jeśli ktoś zadeklarował 1000 złr., spłacił 200 złr., to on zapłaci za niego 800 złr. Wtedy otrzyma list zastawny na 1000 złr., który stanowił papier wartościowy. List ten posyłał do bankiera krakowskiego Kirchmajera i po potrąceniu kosztów bankowych, otrzymywał od niego 800 złr. W ten sposób poratował właścicieli ziemskich przed zadłużeniem się u Żydów, a sam nic nie stracił.

W Zakładzie Kredytowym Włościańskim i u Żydów od dawna było już zadłużonych 360 gospodarstw, przy czym stopa procentowa wynosiła 30%. Jedno gospodarstwo miało czasem 2 lub 3 rodziny, więc 700 rodzin było zadłużonych.

A.J. Mars chciał choć trochę ograniczyć lichwę żydowską, dlatego w 1878 r. założył w Limanowej Towarzystwo Zaliczkowe (rodzaj banku). Wnet zgłosiło się ok. 30 obywateli, którzy wpłacili swoje udziały i w ten sposób powstał fundusz zakładowy. Wypożyczano zainteresowanym pieniądze na 12%, a od 1892 r. na 8%, wpisując zaciągnięty dług na hipoteki. Do 1898 r. liczba jego członków liczyła 1563 osoby, a jego fundusz wynosił 379.364 zł. Mieściło się ono w dwóch budynkach dworskich, a Mars zajmował się nim bezinteresownie.

Adwokatem tego Towarzystwa był dr **Kazimierz Żelechowski**, mąż Augustyny Marsówny, najstarszej córki A.J. Marsa. Żelechowscy wraz z córką **Józefą Komorowską** mieszkali przez długi czas w limanowskim dworze.

W 1882 r. przy Towarzystwie Zaliczkowym, powstało Towarzystwo Ochrony Własności Ziemskiej. Miało na celu ratowanie właścicieli ziemskich, którym z powodu zadłużenia groziło wywłaszczenie z majątku. Jeśli ktoś zwrócił się o pomoc do tego Towarzystwa, wtedy obliczano wysokość zadłużenia. Czasem wystarczyło część majątku sprzedać, aby dług zapłacić, a resztę zostawić właścicielowi. Bardzo zadłużone majątki sprzedawane były na licytacjach i wówczas wykupywało je Towarzystwo Ochrony Własności Ziemskiej. Sprzedawało je następnie chłopom, bądź wydzierżawiało byłym właścicielom, którzy po spłaceniu całej wartości w ratach odzyskiwali swoje majątki. Zarząd Towarzystwa szedł w imieniu właścicieli na rozprawy do sądu, wykazując niesłuszność niektórych pretensji, gdyż wiele długów zostało spłaconych, a nie skreślono ich z hipoteki właścicieli.

Po jakimś czasie Zakład Kredytowy Włościański został zamknięty, a komitet likwidacyjny zgodził się na znaczne ustępstwa wobec dłużników. Towarzystwo Ochrony Własności Ziemskiej istniało do 1896 r. Uregulowało sprawy majątkowe 19 wię-

kszych posiadłości oraz 441 gospodarstw włościańskich. Tam, gdzie przetrwały dwory, chłopi mieli gdzie pracować zarobkowo, w przeciwnym razie wyjeżdżali w poszukiwaniu pracy, zostawiając swoje rodziny w skrajnej nędzy. Z biegiem czasu Urząd Skarbowy w Limanowej zaczął egzekwować od tego Towarzystwa fikcyjne należności, które wcześniej wpisywano niesłusznie na hipoteki właścicieli ziemskich. Wykaz tych należności wyniósł aż 17 000 zł. Urzędnik ze Lwowa rozpoczął śledztwo w tej sprawie i stwierdził nadużycia urzędników podatkowych w Limanowej. Cały personel Urzędu Skarbowego został zmieniony, a jeden z urzędników dostał się do więzienia. W tej sytuacji Towarzystwo Ochrony Własności Ziemskiej trzeba było rozwiązać. W chwili likwidacji fundusz jego liczył 12 000 zł: 2 000 zł przeznaczono na budowę nowego kościoła, dzisiejszej Bazyliki Mniejszej, a 10 000 zł na budowę szpitala w Limanowej. Przy tym w Towarzystwie istniał od 1883 r. Fundusz Zapomogi dla pogorzałych z warstw najbiedniejszych — czyli chłopów. Przymusowych ubezpieczeń od domów nie było, a dobrowolne były tak wysokie, że chłopi nie byli w stanie ich zapłacić. Z Funduszu tego poratowano 20 chłopów, którym spaliły się z różnych przyczyn chałupy, dając im po 100 zł, a 15 przyznano zapomogi.

Poprzez swoją działalność A.J. Mars ograniczył lichwę żydowską, ale nie zlikwidował, nadal rosły długi u Żydów, prowadzące do utraty mienia. W dniach 19–25 VI 1898 r. trwały w powiecie limanowskim rozruchy antyżydowskie. Kilkutysięczny tłum buntowników zbliżał się ku Limanowej, po wcześniejszym spustoszeniu karczem żydowskich w okolicy. Stacjonujący w miasteczku oddział wojska odparł tłum przy pomocy bagnetów, broni palnej nie użyto. W związku z tymi zajściami wprowadzono sądy doraźne. Po tych rozruchach założono w Limanowej jeden katolicki sklep, bławatno–galanteryjny.

Działalność publiczna zabierała A.J. Marsowi większość czasu, dlatego jego majątkiem zajmowali się rządcy. Jeden z nich, **Edward Prókulski** z Warszawy, bardzo dobrze wywiązywał się ze swoich obowiązków, a nawet był kasjerem i korespondentem Towarzystwa Zaliczkowego. Po sześciu latach zachorował i zmarł, natomiast jego następcy już tacy nie byli.

W tym czasie, kiedy browar jeszcze dzierżawił Żyd, A.J. Mars wysłał na własny koszt **Jana Damasiewicza**, ucznia gimnazjum V klasy w Nowym Sączu do browaru piwnego hr. Adama Potockiego w Tenczynku, aby nauczył się produkcji piwa. Potem Damasiewicz objął kierownictwo browaru limanowskiego, po 1865 r. Mars dał mu 5 000 złr. na unowocześnienie i zmiany w browarze oraz dostarczał jęczmień i chmiel do produkcji, robotnicy zaś byli wypłacani z dochodów. Browar dawał wówczas 8 000 złr. czystego zysku rocznie, a sam Damasiewicz miał z tego 2 000 złr. Po 9 latach pogorszyło mu się zdrowie, wtedy za zarobione pieniądze kupił sobie 100 morgów

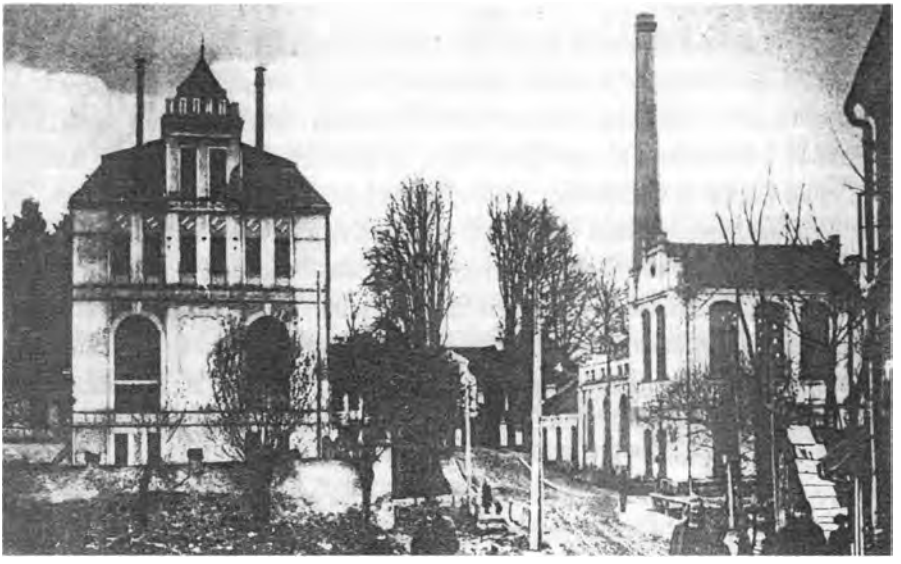

Browar po remoncie w 1900 r.

ziemi wraz z budynkami w Gorzkowie pod Nowym Sączem i tam gospodarował. Po jego odejściu browar ponownie wydzierżawiono, co doprowadziło go znów do upadku. W latach 1891–1900 trwał remont kapitalny browaru. Rozbudowano go, wyposażono w nowe urządzenia oraz doprowadzono wodociąg, zapewniający świeżą wodę do produkcji piwa. Po tych zmianach browar należał do najlepszych w Polsce. Piwo sprzedawano w powiecie limanowskim, nowosądeckim i myślenickim. Rozwożono go furmankami, bo ten transport był o 40% tańszy od przewozu koleją żelazną, zbudowaną w 1885 r.

W 1892 r. A.J. Mars przekazał swój majątek synom: **Zygmunt** otrzymał Limanową i Starą Wieś wraz ze starszym bratem, **Antonim Izydorem**, rektorem Uniwersytetu Lwowskiego, a młodszy od nich, **Kazimierz**, dostał Sowliny z Czachurszczyzną. Po kilku latach Kazimierz swój majątek rozparcelował i sprzedał. Resztę ziemi wraz z budynkami kupiła firma francuska i ok. 1907 r. wybudowała tam rafinerię nafty, gdzie znaleźli pracę biedni ludzie z okolic Limanowej. Zygmunt Mars natomiast dalej gospodarował, mieszkając w limanowskim dworze, zaś jego brat Antoni Izydor pozostał na stałe we Lwowie. Pozostałe swoje dzieci A.J. Mars starannie wychował i wykształcił.

W dniu 3 V 1891 r. A.J. Mars wszedł w skład Komitetu Budowy Kościoła w Limanowej pomyślanego jako pomnik 100. rocznicy Konstytucji 3 Maja. Był zastępcą przewodniczącego Komitetu, ks. prałata Kazimierza Łazarskiego. Oprócz niego w skład Komitetu weszła jego córka Augustyna wraz z mężem dr. Kazimierzem Żele-

chowskim oraz synowie: Zygmunt, Kazimierz i Tadeusz. W 1900 r. Rada Nadzorcza Towarzystwa Zaliczkowego w Limanowej wręczyła A.J. Marsowi podziękowanie za założenie i dwudziestoletnią w nim pracę, do 1898 r.

Antoni Józef Mars zmarł 3 XII 1905 r. w Limanowej, natomiast jego żona Franciszka zmarła w 1903 r. Spoczywają wraz z całą pozostałą rodziną Marsów w podziemiu kaplicy grobowej na cmentarzu parafialnym w Limanowej.

Zygmunt Mars urodził się w 1859 r. w limanowskim dworze. Początkowo uczyli go nauczyciele w domu, a potem kształcił się w Kaiserliche Königlische Deutsche Technische Hohschule w Pradze. W 1899 r. jako marszałek powiatu limanowskiego zatrudnił **Józefa Beka** (ojca) na stanowisku sekretarza Rady Powiatowej w Limanowej. Przekonał się, że Bek ma zamiłowanie do prac publicznych, dlatego uznał, że będzie godnym następcą w tych sprawach, po jego sędziwym już ojcu. Bek założył w 1900 r. Koło Towarzystwa Szkoły Ludowej (TSL) w Limanowej, a przy nim bibliotekę publiczną. Oprócz krzewienia oświaty, rozwinął w powiecie limanowskim sadownictwo. Nie lubił swojego prawdziwego nazwiska Beck, bo miało brzmienie niemieckie i wszędzie podpisywał się Bek.

W 1894 r. Zygmunt Mars ożenił się z **Jadwigą Zielińską**, córką **Eugeniusza Zielińskiego**, właściciela Klęczan. Browar przynosił im duże dochody finansowe, ale w 1934 r. został zamknięty z powodu strajków chłopskich. Ziemi zaś nie opłacało się uprawiać z powodu niskich z tego dochodów, dlatego wypasano na polach bydło czerwonej rasy polskiej. Od 1929 r. Zygmunt Mars był udziałowcem w Spółdzielni Mleczarskiej w Łososinie Górnej, tam też odwożono mleko od hodowanych krów. Współpracował społecznie z p. **Russocką**, która założyła i prowadziła „kasę" (bank) w Limanowej. W dużej mierze przyczynił się do budowy obecnej Bazyliki Mniejszej w Limanowej, jako członek Komitetu Budowy tego kościoła, powołanego w 1891 r. Bazylika została wybudowana w latach 1910–1918, na tym samym miejscu, gdzie wcześniej stał drewniany kościół, mocno nadpróchniały, dlatego został rozebrany. Budową jej zajmował się ówczesny proboszcz limanowski ks. prałat Kazimierz Łazarski. W wielkim ołtarzu znajduje się zabytkowa cudowna figura Matki Bożej Bolesnej i pod jej wezwaniem jest Bazylika.

W okresie I wojny światowej Limanowa i dwór Zygmunta Marsa zostały bardzo zniszczone, szczególnie w czasie bitwy na pobliskim Jabłońcu. Od kul armatnich spaliła się cała południowa część miasta, zwana z tego powodu przez długi okres „spaleniskiem".

Po zakończeniu I wojny światowej zaczęli wracać do kraju z USA emigranci i wnosić nowe obyczaje. Niektórzy dorobili się tam majątku, chodzili ubrani w „pańskie" stroje, z fabrycznie produkowanych tkanin, a na ich kamizelkach lśniły łańcuszki

i zegarki. Oprócz dolarów mieli doświadczenie gospodarcze, co spowodowało przyspieszenie przemian społeczno–gospodarczych i kulturalnych na wsi. Kupowali ziemię z parcelowanych obszarów dworskich, budowali obszerne domy z dużymi oknami oraz duże zabudowania gospodarcze. Do parcelacji majątków dworskich w dużej mierze przyczyniły się lata nieurodzaju, z powodu nadmiernych deszczy lub posuchy w II poł. XIX w. W 1905 r. z powodu wielkiej suszy nie było czym karmić bydła, nawet po niskiej cenie nikt nie chciał kupować koni na targu. Zostawiano je niekiedy przywiązane przy poręczach. Właścicieli dużych majątków zrujnowała inflacja po I wojnie światowej. Stracili wszystkie oszczędności w gotówce, gromadzone nieraz przez wcześniejsze pokolenia. Znikały majątki, które istniały po kilkaset lat, dawna gościnność i dworskość, nastąpił zmierzch dawnej kultury. Nowi ludzie na wsi, wychowani w środowiskach fabrycznych, dążyli do maksymalnego zysku, dawny honor szlachecki i kmiecy uważali za przeżytek. Największe lata kryzysu gospodarczego nastąpiły po 1929 r. Spadła cena ziemi i żywego inwentarza, wiele dużych gospodarstw z tego powodu upadło. Pogorszył się los najbiedniejszych ludzi na wsi i w mieście. Opłaty za naukę były wysokie, przez co młodzież wiejska nie mogła się kształcić, a przemysł nie był w stanie zatrudnić wszystkich poszukujących pracy, w dodatku dalsza emigracja do USA została wstrzymana. Emerytury i renty w porównaniu z cenami artykułów były tak niskie, że stanowiły marny grosz. **Jan Sitowski**, właściciel dworu w Mordarce k. Limanowej, który przez długie lata pracował jako prawnik w różnych sądach, otrzymywał w 1920 roku 450 koron emerytury. Dobrze, że nie było to jedyne źródło jego utrzymania, bo lekarz z Nowego Sącza zażądał od niego podczas choroby 500 koron za jedną wizytę. Tragiczny był los wdów i sierot po wysokich urzędnikach i po poległych żołnierzach, bo otrzymywały jeszcze mniejsze renty niż Jan Sitowski. Siedziały pod kościołem w Warszawie i prosiły ludzi o wsparcie. Tymczasem na Sejmie w Warszawie oświadczono, że *„Rząd polski nie ma prawnego obowiązku przyjść z pomocą emerytom"*. Informacje te podał Jan Sitowski w publikacji *Wspomnienia limanowskie (1874–1920)*, Piotrków Trybunalski 1922 (wydane pośmiertnie). W Limanowej i okolicznych wsiach ludność przeżywała kryzys, rozpoczęły się strajki chłopskie, które doprowadziły do zamknięcia rafinerii nafty w Sowlinach oraz browaru limanowskiego z dniem 1 lipca 1934 r. Nastąpił wówczas upadek gospodarczy powiatu limanowskiego. O przemianach i kryzysie gospodarczym na limanowskich wsiach poinformował Antoni Górszczyk w publikacji *Pisarzowa*, zamieszczonej w *„Materiałach etnograficznych z powiatu limanowskiego"*, z. 2, Wrocław 1971.

Jadwiga i Zygmunt Marsowie nie mieli potomstwa, dlatego ich majątek miał odziedziczyć **Grzegorz Mars**, syn Antoniego Izydora, rektora Uniwersytetu Lwowskiego. Jako

spadkobierca mieszkał z nimi w limanowskim dworze i zajmował się hodowlą bydła, ziemi nie uprawiał. Z powodu samotności życzliwie przyjmowali całą liczną rodzinę w limanowskim dworze, przyjeżdżającą tam na urlopy, wakacje oraz święta. U nich odbywały się również wszystkie najważniejsze uroczystości rodzinne m. in. ślub **Zofii Chrząszcz** w 1933, prawnuczki A.J. Marsa. W tym czasie wewnątrz dworu było 14 pokoi: 12 na parterze, 2 na górze, a prócz nich kuchnia, pokoje służbowe i spiżarnia. Każdy z pokoi miał swoje przeznaczenie: był salon, czytelnia, sala bilardowa, pokój werandowy, jadalny, sypialny właścicieli, gabinet Zygmunta Marsa, 2 pokoje gościnne na dole, 2 gościnne na górze, 2 pokoje zwane „Kijowem" zajmował Grzegorz Mars, przyszły spadkobierca. Urządzone były z wielkim smakiem, nie brak było antyków, a na ścianach wisiały obrazy Aleksandra Mroczkowskiego i Wodzinowskiego. W bibliotece dworskiej było sporo cennych książek, które mieściły się w dwóch szafach i na dużej półce m. in. encyklopedie i trylogia Henryka Sienkiewicza.

Dwór szlachecki w Limanowej w 1997 r. Fot. Zbigniew Sułkowski

Dwór otaczał niewielki ogród kwiatowy, pięknie zaplanowany i dobrze utrzymany. Przy wjeździe do dworu była fontanna, a dalej aleja grabowa, która prawie cała wymarzła podczas mroźnej zimy w 1928 r. W parku oprócz drzew rosły piękne krze-

Biblioteka Publiczna im. J. Suskiego
Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Nowym Sączu
Region

wy, a jego przedłużeniem był ogród owocowo–warzywny, prowadzony przez rezydentkę **Różę Pikównę**, krewną Marsów.

Jadwiga Marsowa opiekowała się chorymi oraz uczyła dziewczęta wiejskie robót ręcznych, tkania dywanów i robienia nicianych guzików do bielizny. Była też mistrzynią w robieniu bukietów ze suszonych kwiatów. Zmarła w 1939 r., jeszcze przed II wojną światową. W okresie okupacji hitlerowskiej w limanowskim dworze mieszkało wiele osób z rodziny Marsów oraz przypadkowi wysiedleńcy z innych stron Polski. Całym dworem zajmowała się wtedy **Krystyna Przetocka** ze Lwowa, siostra Grzegorza Marsa. Dwór był oparciem i pomocą dla limanowskiej partyzantki. Rządca dworski **Śliwa** został zamordowany przez Niemców.

Zygmunt Mars czekał na lepsze czasy, tymczasem nadeszła katastrofa. W wyniku uchwalonej w 1944 r. reformy rolnej odebrano mu cały majątek, musiał też opuścić dwór wraz z całą rodziną. Mieszkał w wynajętym mieszkaniu w Limanowej, gdzie opiekowała się nim Róża Pikówna i tam zmarł w 1945 roku. Jego spadkobierca Grzegorz Mars, i pozostała rodzina, wyjechali do Krakowa. Dobrze, że Grzegorz Mars miał tam dom i mieszkanie, więc było się gdzie schronić. Do tej pory mieszka tam Pani Zofia Chrząszcz, prawnuczka A.J. Marsa, która w liście z dn. 11 XI 1996 udzieliła mi informacji o dworze i jego mieszkańcach w okresie międzywojennym i w czasie okupacji hitlerowskiej. W 1961 r. zmarł bezpotomnie spadkobierca Zygmunta Marsa, Grzegorz Mars. Dwór tymczasem przez długie lata stał zamknięty i niszczał, zanim stał się siedzibą Muzeum Regionalnego Ziemi Limanowskiej.

Józef Bieniek

KAPŁAN Z CHARYZMĄ

Mihivivere Christus est

Przez 14 lat setki dziewcząt z sądeckich uczelni żeńskich — twierdziło, że był święty. Ale jak — powątpiewał ten i ów — bez beatyfikacji, bez kanonizacji, bez stopki w kalendarzu?

Coś tam jednak musiało być, skoro świętościowe opinie uczennic z Seminarium i Gimnazjum Żeńskiego miały charakter uporczywy i powszechny. Spróbujmy więc, na podstawie sterty zebranych materiałów, ową świętość profesora od religii, ks. **Pawła Sulmy**, omówić szerzej i dokładniej, w rozłożeniu na jej poszczególne etosy, etapy i znamiona.

Ks. Prefekt Paweł Sulma

X

Szczurowa — wieś położona na północnej krawędzi województwa tarnowskiego, przy ujściu Uszwicy do Wisły, ma bardzo ciekawą historię. Założona została w 1338 r. przez biskupa **Jana Grota**, na obszarze dóbr biskupów krakowskich. Żywot wsi zaczął się od momentu wybudowania drewnianego kościoła i utworzenia parafii pod wezwaniem św. Bartłomieja Apostoła, w skład której weszło kil-

ka sąsiednich wiosek.

W 1596 r. powstało w Szczurowej kolejne dzieło biskupów krakowskich — szkoła. Duchem Świętym natchnieni fundatorzy szkoły założyli, że będzie ona wylęgarnią powołań kapłańskich. Od razu też nadano jej specjalistyczny charakter: wieloklasowa, z językiem niemieckim w wyższych klasach i na biskupich finansach oparta — miała na celu wyławianie wśród uczniów elementu najzdolniejszego i przygotowanie chętnych do stanu duchownego. Nadany szkole kierunek, wsparty wysiłkiem doborowego grona pedagogicznego zaowocował bogato, przekazując w służbę Kościoła i Ojczyzny kilkadziesiąt osób.

I tu swoista ciekawostka: związki Szczurowej i jej szkoły z miastem i powiatem Nowy Sącz. Ze Szczurowej bowiem pochodzili synowie chłopscy, którzy w dziejach Sądecczyzny zapisali się iście złotymi zgłoskami: prof. **Piotr Kosiński**, wspomniany na wstępie ks. Paweł Sulma, jego brat stryjeczny ks. **Franciszek Sulma**, ks. **Piotr Maciaszek**, obecny proboszcz parafii św. Kazimierza, ks. prałat **Stanisław Czachor**, czy ks. **Jan Piepsznik**, długoletni proboszcz parafii Trzetrzewina, noszącej ongiś miano „trudnej". O Kosińskim była już mowa, tym razem zajmijmy się postacią ks. Pawła Sulmy.

X

Urodził się w Szczurowej w 1873 r. jako czwarty z siedmiu synów ubogiej, ale zacnej rodziny. Jeden z siódemki zmarł w dzieciństwie, reszta „wykierowała się na ludzi". Dwóch po odbyciu służby w wojsku austriackim ożeniło się i osiedliło w Czechach, jeden służył zawodowo w marynarce, z portem wyjściowym w Bremie, inny pracował w Krakowie i tam zmarł. Starszy od Pawła — **Jan**, pracował przez 38 lat w miejscowej gminie jako pisarz. Był on ojcem ks. Franciszka, który po śmierci swego stryja zajął jego miejsce wikarego i katechety w Nowym Sączu. A Paweł?

Ze szczurowskiej szkoły, z obudzonym już przez aktualnego proboszcza, ks. **Jana Kistrysa**, powołaniem w stronę ołtarza — poszedł Paweł Sulma do gimnazjum w Bochni, a po uzyskanej w 1894 r. maturze podjął studia teologiczne w tarnowskim Seminarium Duchownym.

Już w gimnazjum, a później w Seminarium zaczęło się ujawniać i kształtować to, czym Sulma zasłynął na sądeckim bruku: ogromna życzliwość i serdeczność w międzyuczniowskich stosunkach. W seminarium np. kleryk Sulma zainicjował, własnym przykładem, wielką akcję dzielenia się obiadami z najuboższymi kolegami z seminarium nauczycielskiego i gimnazjum. Poza tym Sulma pomagał bezpłatnymi lekcjami tym, którzy mieli z takim czy innym przedmiotem poważniejsze trudności. Jego charyzma była cechą wrodzoną, ale jej skala rozrastała się i doskonaliła pod

wpływem dobrych wychowawców oraz odpowiednio dobranych lektur, podsycających ogniska przyrodzonych impulsów.

Seminarium ukończył w 1898 r. i zaraz po święceniach objął stanowisko wikarego w Pilźnie. Po trzech „próbnych latach" — przeniesiono Sulmę z Pilzna do Nowego Sącza. Ale z tego pierwszego pobytu w naddunajeckim grodzie nie zachowały się żadne poważniejsze wzmianki. Zaharowany mnóstwem zajęć na dużej parafii — nie miał czasu na orle wzloty.

Ale nie uszedł uwadze władz diecezjalnych: z bardzo pozytywną opinią — został w 1904 r. sprowadzony do Tarnowa, na stanowisko katechety w Szkole Żeńskiej im. cesarza Franciszka Józefa. Dziewczęta były jednak wpisane wyraźnie w losy ks. Sulmy. Bystre oko nowego ordynariusza diecezji tarnowskiej, ks. biskupa dra **Leona Wałęgi**, wyczuło w Sulmie poważną osobowość, bo już w 1906 r. został awansowany do roli wicedyrektora bursy Seminarium Nauczycielskiego. Uczył też na kursach nauczycielskich.

10 lat pracy w Tarnowie pozwoliło ks. biskupowi dojść do przekonania, że na ks. Sulmie może polegać zawsze i wszędzie. A szczególnie w szkolnictwie żeńskim, na którym „przejechało się" wielu młodych księży.

Właśnie z Nowego Sącza nadeszły prośby o przydział „dobrego katechety" do dwóch żeńskich uczelni prywatnych: Seminarium Nauczycielskiego i Gimnazjum. Wśród „dobrych" za najlepszego uznał biskup ks. Sulmę, co było powodem, że w sierpniu 1914 r. „najlepszy" zjawił się w Nowym Sączu z błogosławieństwem ks. biskupa na nieograniczony czas, ale z wyrokiem bożym na … 15 lat.

Zaangażowany do szkolnictwa prywatnego — zamieszkał także prywatnie, przy ul. Jagiellońskiej 22, stając się, ciekawym zbiegiem okoliczności, sąsiadem ks. Piotra Maciaszka, pochodzącego także ze Szczurowej. Również katechetą, ale zatrudnionym w szkolnictwie męskim. Tego rodzaju sąsiedztwo byłoby dla Sulmy faktem przyjemnym, gdyby nie ogromna różnica charakterów. Sulma: skrajny altruista, tryskający humorem, dobrotliwy wesołek i kawalarz, a za ścianą sąsiad: pełen zacności i prostolinijny, ale pedant, legalista, bardzo oficjalny, trochę oschły i pełen rezerwy. Z tych względów stosunki sąsiedzkie pozostały do końca na stopie przyzwoitej, ale bez przyjaznej serdeczności.

Oficjalnie przydzielony został do żeńskich szkół średnich: Seminarium i Gimnazjum. Tam też z dniem 1 IX 1914 r. rozpoczął zajęcia. Ale na prośbę proboszcza sądeckiej fary, ks. infułata **Alojzego Góralika**, zgodził się prowadzić prace katechetyczne w Szkole Powszechnej im. Królowej Jadwigi, i w tzw. „Jedynce" im. Adama Mickiewicza. Na krótsze okresy. Był to bowiem czas, gdy słabe żniwo powołań — stworzyło duże trudności w obsadzie stanowisk katechetycznych.

Katechetyczny dzień ks. Sulmy, mimo nawału zajęć, był uporządkowany i choćby lało czy wiało — uśmiechnięty.

Wstawał — piątek czy świątek — o 4. Krótka modlitwa, ceremoniał codziennego golenia i bieg nad Dunajec. Rytualna wręcz kąpiel, od kwietnia do października, codziennie. I znowu bieg do szpitala, gdzie bezinteresownie pełnił funkcję kapelana. Tu, o godzinie 5, rozpoczynał boży dzień bożym aktem Eucharystii. Po mszy: odwiedziny chorych, spowiedź i komunia. A dla gasnących — namaszczenie i błogosławieństwo na trud dalekiej drogi.

O 8 zaczynał naukę. Ale w szkole był zawsze parę minut wcześniej, bo ciągle ktoś na niego czekał z balastem szkolnych, osobistych czy rodzinnych kłopotów i trosk.

Lekcje kończył o 13. Później obiad na plebanii u fary, a po obiedzie, od 14 do 16 zastępował w kancelarii parafialnej ks. infułata **Mazura**, dając mu szansę odpoczynku lub umożliwiając wykonywanie różnych zajęć duszpasterskich, których proboszcz ogromnej wówczas parafii miał bez liku.

Oprócz spraw bieżących wiele czasu poświęcał na porządkowanie dokumentacji parafialnej oraz na przeprowadzanie rozmów z dziesiątkami parafian, którzy słysząc o ks. Sulmie przychodzili doń prosząc o pomoc i poradę w swoich, nieraz bardzo skomplikowanych problemach.

Po zajęciach kancelaryjnych szedł do Białego Klasztoru, gdzie w maju i październiku odprawiał aktualne nabożeństwa. O 19, po kolacji, wychodził na miasto w poszukiwaniu wałęsających się o tej porze uczennic.

Do legendy przeszła jego pracowitość i poczucie koleżeństwa. Sprawy szkolne były oczywiście zawsze na pierwszym planie. Ale nie było misji, rekolekcji, czy masowych: pierwszopiątkowych, przedodpustowych, czy przedświątecznych spowiedzi, w których ks. Sulma, w koleżeńskiej posłudze, nie brał udziału.

W sferach szkolnych znany był z tego, że nie lubił spowiadać swoich uczennic; odprawiał je od kratek konfesjonału delikatnym: — *nie mogłaś to sobie poszukać innego księdza?* Nie był to kaprys, czy zła wola: subtelny do przesady — nie chciał peszyć dziewcząt grzebaniem się w intymnych sprawach ich sumień. Chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że niejednej bardzo by się przydał przyjazny głos porady ze strony mądrego i życzliwego spowiednika. Czynił to zresztą na co dzień.

Prekursor

O ks. Sulmie mówiono, że był prekursorem ekumenizmu. Nie bez racji. Tylko, że w szerokim pojęciu ekumenicznym, oprócz jednoczenia braterskim uczuciem ludzi różnych wyznań, istnieje także swoista odmiana ewangelizacji, polegająca na

nawracaniu: tak, jesteśmy braćmi Chrystusa, ale główną ideę współżycia zakładamy na katolicyzmie, jako sile przewodniej i dyspozycyjnej.

Z ks. Sulmą było inaczej. W klasach seminaryjnych i gimnazjalnych przeważały Polki o światopoglądzie rzymskokatolickim, ale było także sporo protestantek, córek sądeckich Niemców, grupa żydówek oraz dziewczęta wyznania greckokatolickiego i prawosławnego. Ks. Sulma wykładał oczywiście zgodnie z programem zasady wiary rzymskokatolickiej. Ale niesłychanie wyczulony na punkcie szacunku dla każdej religii — czynił to w sposób tak ciekawy i pełen ciepła, że godzina z Księdzem Profesorem zamieniała się w zaczarowany świat. Zasłuchane i zapatrzone w miłą zresztą twarz wykładowcy — tkwiły w swojego rodzaju hipnozie, skupione i milczące.

Czy ten rodzaj nauczania można uważać za ekumenizm? Na pewno tak. „Dymiąc" jak wulkan dobrocią i miłością, z Chrystusem w centrum uwagi, ukazywał inaczej wierzącym katolicyzm w jego fundamentalnych formach i treściach. Nie apostołował, nie ewangelizował, ale zbliżał, wypełniając to, co po Watykańskim Synodzie, wiele lat później, wprowadził Kościół jako główne kierunki działania.

W tamtych czasach taka postawa nie była jeszcze popularna: w szowinistycznie nastawionych kręgach społecznych budziła konflikty i zastrzeżenia. Zupełnie bezpodstawnie. Ks. Sulma nie zapraszał innego wyznania uczennic na lekcje religii. Obowiązku uczestniczenia nie miały. Przychodziły — bo lubiły księdza za to, właśnie, że szanował ich przekonania, że je traktował po ojcowsku, że z równą serdecznością odnosił się do córki Łemka z Łabowej jak i do pannicy, której ojciec należał do czołówki inteligenckiej Nowego Sącza.

Swoistym gatunkiem prekursorskich poczynań ks. Sulmy było wskazanie drogi ku przemianie świata przez miłość i jej możliwie szerokie realizowanie w odniesieniu do potrzeb trawionych nędzą grup społecznych. Nowy Sącz — to wprawdzie nie świat w sensie geograficznym, ale i tu pojęcia, dążenia i ekspansja ofensywna ks. Sulmy miały wystarczająco wiele do zrobienia. Wcześniej niż z Watykanu padły wskazania o miłości jako głównym leku na schorzenia ludów i narodów.

Ekumeniczne prekursorstwo ks. Sulmy w odniesieniu do Rusinek i protestantek nie przedstawiało większych trudności. Ale tylko dlatego, że jego „Ekumenizm" uprawiany serdecznym uczuciem dobroci — nie deptał i nie obrażał niczyich przekonań, obejmując wszystkich tym charakterystycznym gatunkiem miłości praktycznej, która dostrzega nie osobę i jej światopogląd — lecz jej potrzeby.

Tak prowadzone „apostolstwo" przysparzało ks. Sulmie wielbicielek, które urzeczone jego osobowością widziały w nim ideał wszelkich cnót pedagogiczno–wychowawczych. Ale „epidemii" nawróceń nie spowodowało.

Gorzej sprawa przedstawiała się wobec środowiska żydowskiego. Liczne, bo około 10 tysięcy liczące, dzieliło się na trzy zasadnicze sfery: bogatych, którzy naśmiewali się z Polaków, twierdzących nie bez złośliwości: „Nowy Sącz? Jaki on tam nowy: wasze ulice, a nasze kamienice". Drugą warstwę stanowili sklepikarze, kioskarze, rzemieślnicy i drobni wytwórcy różnych artykułów. I wreszcie doły: bieda z nędzą, bogata w dziury w chałatach i w dzieci.

No i znowu włazimy na podwórko ks. Sulmy, a raczej na jego ekumeniczne zmartwienia. Do szkół, które obsługiwał, uczęszczało sporo Żydówek. Dla ks. Sulmy nie było z nimi problemu, Dla niego nie istniały wyznania, narodowości i rasy — on widział tylko biednych, chorych i opuszczonych, którym trzeba było przyjść z pomocą. Aby bliżej poznać nędzę u jej źródeł — odwiedzał często mieszkania swoich uczennic. W dzielnicy żydowskiej też. A potem przychodził na lekcje do starszych dziewcząt i na „godzinie" wyjmował sztukę płótna, zwracając się z prośbą: *Zosiu, uszyj sukienczynę. Chodzi taka jedna Żydówka obdarta i bez koszuli, że patrzeć nie mogę …*

Rychło też w środowiskach żydowskich rozeszła się wieść o „Dobrym Panu Księdzu". A gdy przechodził ulicą, Żydzi, właściciele sklepów, zapraszali go z niekłamaną serdecznością, oferując „Panu Księdzu" zakup najlepszych towarów.

Niestety, jedna jaskółka wiosny nie czyni. W społeczeństwie polskim zaczęły się pojawiać i narastać endeckie opcje, rodząc różne formy antysemityzmu, a w sumie to, co w życiu społecznym najszybciej przyswajalne i najgroźniejsze: zazdrość, odraza, niechęć, postawy izolacji i wrogości.

Tym obsesjom ulegała także część grona pedagogicznego w szkołach, w których ks. Sulma usiłował udowadniać, że dziecko żydowskie to nie Żyd, ale Człowiek, wobec którego nie wolno stosować żadnych kryteriów wyznaniowych i narodowościowych. Tu — twierdził — jedynym wyrazem mądrej pedagogiki jest uczciwość w ocenie postępów w nauce, rzetelność i kultura, a wobec biednych — dobroć, uśmiech i miłosierdzie…

Księdzu to było łatwe powiedzieć: niezaangażowany w żadną politykę, nie znający słowa nienawiść, niezależny finansowo — postępował według nakazów Charyzmy, której niewyczerpane zasoby przydzielił mu Stwórca, stwarzając szansę stania się wzorem najistotniejszych cnót czynnego chrześcijaństwa. Wobec wszystkich. A więc także wobec Żydów, których dziś, największy Charyzmatyk Świata, Jan Paweł II, określa mianem „starszych braci w wierze".

Tego sposobu myślenia i działania nie podzielała część grona pedagogicznego. Uwikłania w różne uzależnienia, do których należały także wszystkie formy i treści antysemityzmu — nie pochwalała altruistycznych metod propagowanych przez ks.

Sulmę i odnosiła się do niego co najmniej z rezerwą.

Ot, charakterystyczny przykład. Jeden z wielu. Gdy córka nauczycielki szkoły powszechnej, Żydówki, doktoryzowała się na Uniwersytecie Jagiellońskim — matka przysłała do szkoły zawiadomienie o tej uroczystości. Ksiądz, dziękując za zaszczytną dla szkoły wiadomość, wysłał gratulacje w imieniu grona. I wpadł. Bo grono zwróciło mu uwagę, żeby sobie „przewielebny", nie pozwalał na szarganie honoru grona, wysyłając w jego imieniu gratulacje jakiejś tam „żydówie".

Tym razem ksiądz doznał małego wstrząsu. *Nie pojmuję* — skarżył się do dziewcząt — *matka cieszy się z sukcesu córki, a one, przecież także matki i wychowawczynie, tak prostej sprawy nie chcą zrozumieć…*

Ten epizod wyraźnie księdza speszył, ale kazał mu przemyśleć problem głębiej i uważniej. A trzeba było, bo patrząc dotąd przez pryzmat ogromu dobroci i miłosierdzia — nie dostrzegał brutalnych kształtów rzeczywistości.

I aby zrozumieć, że ścieżka, którą zaczął iść i, na którą pragnął wprowadzić grono nauczycielskie, była wyjątkowo trudna i stroma, bo wymagała przynajmniej humanitarnego ustosunkowania się do Żydów. Ci zaś, od wieków prześladowani i gnębieni — wypielęgnowali w sobie specyficzne postawy izolacyjno–obronne, z dominantą bezwzględnej chytrości i drwiącego lekceważenia, wyrażanego choćby słowem „goj" — na życzliwe traktowanie ze strony społeczeństwa polskiego nie zawsze zasługiwali.

Znaki sprzeciwu

Wydawać by się mogło, że tak mocno promieniujący dobrocią człowiek, jakim był ks. Sulma — nie mógł mieć wrogów. Niestety. Otwartych nie miał, ale w gronie „koleżeńskim", wszędzie gdzie uczył — nie cieszył się sympatią. Tu cicha, nie powiedziana głośno zmowa miała charakter „pedagogiczny". Zwłaszcza ze strony oschłych „numizmatyczek", które swój zawód wykonywały na zasadzie bezlitosnego rygoru i posłuszeństwa. Podobno dla dobra ucznia, nauczyciela i szkoły…

Ks. Sulma, ich zdaniem — był wrogiem ustalonych w szkolnictwie norm i obyczajów. Jego dobroć — mruczały w zaufanych gronach — może jest piękną, ale z punktu wychowawczo–pedagogicznego i dla prestiżu szkoły ma charakter destrukcyjny i wręcz dywersyjny: uczy źle, bo rozluźnia dyscyplinę.

Istotnie, ks. Sulma „źle" uczył religii, ale na jego lekcje przychodziły także Niemki, Rusinki i Żydówki. Im noty z religii były niepotrzebne, ale przychodziły, bo „godziny z księdzem Sulmą" miały swój niepowtarzalny urok łączenia prawd wiary z pięknem młodości oraz z siewem dobroci i miłości, podane stylem uroczej gawędy, z domieszką dowcipu.

Co z tego — tłumaczył „czarujący katecheta" — *że nauczysz się wszystkich prawd wiary, gdy serce pozostanie puste, zimne i mściwe…*

Istotnie, dla wspomnianego typu pedagogów tryb nauczania ks. Sulmy był co najmniej kontrowersyjny. On w życiu, w ciągu 15 lat nauczania, nie dał złej noty ani jednej uczennicy, wobec tępych i trudnych „deptał" tak długo, aż wymęczył odpowiedni poziom. Zaś tych, którym groziła „plajta" — wypraszał względne potraktowanie i ratował z opresji.

No i na tym polegało zagrożenie szkolnego ładu ze strony ks. Sulmy. A on? Był zbyt inteligentny, aby nie wiedzieć, o co naprawdę chodzi. Uśmiechał się i mówił do dziewcząt: *„nie martwcie się o mnie… „Staruszki" się z czasem wyciszą, a my róbmy swoje: kochajmy wszystko co piękne i dobre, bo w miłości tkwi główny sens Chrystusowej Ofiary".*

Ale raczej unikał „staruszek", a chętnie przebywał wśród dziewcząt. Były szczere, szczerze radosne i uczciwe. Nawet w swych przeegzaltowanych sympatiach do Księdza Profesora.

Postępowanie ks. Sulmy miało jeszcze inną strefę nieprzychylności: wśród kleru. Księża byli, są i będą różni: wspaniali jak Sulma, dobrzy, mniej dobrzy i przeciętni zjadacze plebańskiego chleba. Właśnie ci, przeciętni, mieli do ks. Sulmy mniejszy czy większy żal:

To wariat — mówili — anormalny: robi za darmo to, za co można zdobyć ładne pieniądze, nie obciążając sumienia plamką grzechu…

Po swojemu — mieli rację. Ale Sulma, rzeczywi\234cie „anor malny" — uśmiechał się i robił to, co mu dyktowała jego „anormalność": żyjąc z rodzinami uczennic nie za pan ksiądz, lecz za pan brat — chrzcił dzieci, najuboższym pomagał ubrać się do pierwszej Komunii, dawał śluby, odprawiał pogrzeby z mszą świętą za duszę zmarłego, a wszystko to za watykański pieniądz: Bóg zapłać.

Tu jednak konieczna jest zasadnicza dygresja. Wszystkie poczynania ks. Sulmy możliwe były także dlatego, że był on tylko katechetą na nieźle płatnym etacie w szkolnictwie średnim. Gdyby go postawić w roli proboszcza większej parafii, z mnóstwem różnego typu zobowiązań finansowych na co dzień, przy konieczności budowy, przebudowy czy remontu podlegających gospodarzowi parafii obiektów — ten typ hojnego miłosierdzia byłby, i jest, nie do pomyślenia.

Na szczęście miłosierdzie przeszło na etat parafian, Caritasu i różnych zespołów dobrej woli, które idąc przez życie — czynią dobrze.

X

Księdzu Sulmie „Bóg zapłać" jednak wystarczało. Jakimś cudem mnożył swe

przychody, bo nie tylko nosił się zupełnie przyzwoicie: wybłyszczony, wyprasowany i elegancki, ale mógł sobie pozwolić na przesyłanie owdowiałej matce miesiąc w miesiąc pewnej kwoty, pomagał najuboższym uczennicom w kontynuowaniu nauki, płacąc za nie różne należności, w prywatnym szkolnictwie zawsze stosunkowo wysokie; dla wybitnie zdolnych lecz ubogich — załatwiał stypendia, zawsze bardzo dyskretnie, także z własnej kieszeni. Dziewczęta zagrożone gruźlicą — posyłał do sanatoriów, opłacając koszty leczenia.

Do tej cząstkowej litanii Sulmowego miłosierdzia dodać jeszcze trzeba, że pełnił bezinteresownie szereg zadań nie leżących w jego obowiązkach. Ot, choćby honorowa funkcja kapelana w szpitalu, czy nabożeństwa majowe i październikowe u Sióstr Niepokalanek w Białym Klasztorze. Tu zresztą bywał często. Siostry wykładowczynie miały za sobą wyższe studia z różnych, koniecznych w szkolnictwie dziedzin; uczyły dziewczęta, miał więc ks. Sulma z kim dyskutować, wymieniać poglądy, dzielić się doświadczeniami i wzajemnie „douczać". Nieporozumień nie było, problemy się zbiegały. Bo dziewczęta w Białym Klasztorze, czy w uczelniach, gdzie pracował ks. Sulma — przynosiły ze świata zło i dobro, a cele szkoły zakonnej czy świeckiej, były te same: pomnażać dobro do maksymalnych granic i w takim stopniu niweczyć zło, we wszelkich jego formach i treściach. Ks. Sulma zamykał swój program w głównym wskazaniu: *„Służ Bogu i Ojczyźnie, ale nie zapominaj o bliźnich, gdyż tylko miłość spieszącą z pomocą biednym, chorym i nieszczęśliwym utrwali twoją godność i zapewni nagrodę z rąk Pana. Tam, gdzie ludzkie sądy nie mają najmniejszego znaczenia"*.

Sam służył Bogu, Ojczyźnie i Bliźnim. Wiernie i szczerze. Jaką nagrodę otrzymał z rąk Pana? Wiemy tylko, że dobrą pracę Gospodarz wynagradza sowicie. Z ziemskich nagród odnotować możemy dwie: w 1917 r. zyskał tytuł — expositorium canonicale, a w 1923 r. uhonorowany został rokietą i mantoletem.

Cnoty kłopotliwe

Nie znalibyśmy pełnej prawdy o ks. Sulmie, gdybyśmy nie wspomnieli o jego postawie w okresie matur. Kochający swe uczennice serdecznym uczuciem troski o ich los i przyszłość — czas matur przeżywał mocniej niż same maturzystki. Był to dla niego okres bezustannej euforii. Organizując zaplecze maturalne uciekał się nawet do sposobów budzących zastrzeżenia o charakterze moralnym; wyciągając od profesorów pytania egzaminacyjne, a podczas egzaminów starał się w różny sposób podpowiadać, choćby ruchami głowy i rąk, czy wyrazem twarzy.

Aby nie być gołosłownym — pozwolę sobie przytoczyć jeden fakt z cyklu „kłopotliwych cnót" ks. Sulmy. Miał taką jedną „dziopkę", którą „podciągał" wszelkimi

sposobami. Bez większych efektów. Był też przekonany, że na nadchodzącej maturze „wysiądzie".

Myślał więc jakby biedaczce pomóc, nie naruszając za bardzo teologicznych zasad. I wymyślił. W czasie konferencji grona członków komisji maturalnej cichuteńko szepnął siedzącemu obok: *Pan profesor wie, że „Ula" to bliska krewna Pana Dyrektora?*

Pan Profesor nie wiedział, inni też nie, ale porządnemu księdzu trzeba było wierzyć. Może nawet nie bardzo wierzono, ale na wszelki wypadek tak ustawiono pytania, że „Ula" zdała i jesienią tego samego roku rozpoczęła studia na wyższej uczelni.

Przytoczone posunięcia i chwyty ks. Sulmy do chwalebnych nie należały. Stosował je zresztą jako ostateczność. Wcześniej bowiem, zorientowany w stanie umysłowym swych dziewcząt, dwoił się i troił, aby słabszym i zagrożonym zapewnić pomoc. Np. przez wyszukiwanie lekcji prywatnych, które zwykle sam opłacał. Bardzo często wykorzystywał pomoc koleżeńską, oddając mające trudności z jakimś przedmiotem pod opiekę bardziej, czy wybitnie uzdolnionych.

Te i sto innych zabiegów, i środków pomocy okazywanych uczennicom — były tylko wyrazem serdecznej troski ks. Sulmy o ich przyszłość. To dla ich dobra używał on wszelkich dostępnych mu środków. A poza tym uczył prawdomówności, uczciwości i rzetelnej pracy, pomagał, czuwał, bronił na konferencjach, ale umiał i surowo upomnieć. Największy nacisk kładł na tworzenie nastroju dobrej woli, życzliwości i wyrozumiałości, tak wśród uczennic, jak i w gronie nauczycielskim. Umiał przy tym stwarzać wokół siebie miłość, zaufanie i przyjaciół. W cieple serdecznego klimatu nurzał się z radością, humorem i rozmachem swej bujnej, rdzennie chłopskiej polskości.

Kiedy jednak o kłopotliwych cnotach ks. Sulmy mowa — warto wspomnieć, że był taki moment, w którym uwielbiany przez uczennice ksiądz profesor postawił je w obliczu tajemnicy i skłonił do wielkiego zaskoczenia i zdziwienia.

Było to w czasie urządzonej przez ks. Sulmę pielgrzymki na Jasną Górę. Po wejściu do kaplicy Matki Boskiej — dziewczęta uklękły i zaczęły się modlić, a ksiądz upadł krzyżem i przez godzinę leżąc prowadził swój dialog z Bogiem, przy wtórze cichego szlochu.

Co się z nim dzieje? — szeptały strwożone dziewczęta. *Taki dobry, święty, przecież nie ma za co Boga przepraszać!*

A może czuł się winny właśnie za tą nieposkromioną dobroć, w której rozmachu niósł uczennicom pomoc w nie zawsze zgodny z etyką sposób?

A tak na co dzień?

Po tym przydługim „skoku wzwyż" — wróćmy jeszcze do Sulmowego rozkładu dnia, aby uzupełnić „odczłowieczoną" postać szczegółami często ludzkiej egzystencji. Bo przecież ks. Sulma nie był stetryczałym kostuchem, mrukiem czy mizantropem. Żywiołową radość tryskającą zeń jak z fontanny, wyładowywał przede wszystkim w szkole. Ale poza szkołą miał grono ulubionych znajomych i przyjaciół, wśród których spędzał rzadkie zresztą godziny wolnego czasu. O jedno przy tym bardzo dbał: nawiązując przyjaźnie dobierał takie osoby i rodziny, z którymi stosunki nie mogły omotać go siecią podejrzeń i plotek, co w małym mieście miało charakter powszechny i dokuczliwy.

Ks. Sulma najlepiej się czuł w gronie księży pracujących w szkolnictwie. Tu, poprzez usługi koleżeńskie, głównie w okresach masowych spowiedzi i rekolekcyjnych nauk — nawiązywał serdeczne, trwające lata całe przyjaźnie. Do najbardziej lubianych należeli: rektor kaplicy szkolnej ks. **Michał Klamut**, kapelan 1. psp ks. **Jakub Stec**, ks. infułat Roman Mazur, dyrektor Bursy, ks. dr **Jędrzej Cierniak** i inni.

Przy herbatce i przekąsce, czy partycje preferansa — grono poważnych toczyło nie zawsze poważne dysputy. O wszystkim i o niczym. Dla odprężenia i relaksu. A w tym temacie główną rolę odgrywał złoty humor i cięty język ks. Sulmy.

Poza konfratrami osobliwą przyjaźnią darzył ks. Sulma doktora praw, bardzo, poza kancelarią adwokacką, popularnego prezesa Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół", **Stanisława Flisa** z rodziną. Tu bywał najczęstszym gościem i tu czuł się najlepiej, choćby z racji sąsiedztwa, gdyż mieszkał naprzeciwko. Równie dobrze czuł się w domu znanego w całej Sądecczyźnie lekarza, dra **Adama Kozaczki**, gdzie zresztą skończył życie, powalony nagłym atakiem zawału.

Nieoficjalnie, ale często bywał w kawiarni Pilińskiego, gdzie pracowała jego uczennica. Z kawiarnią wiąże się jeden z serdecznych odruchów ks. Sulmy. Po rekolekcjach, czy też innych uroczystościach religijnych połączonych z Komunią — uczennice zamiejscowe i ubogie zapraszał ksiądz do Pilińskiego na kawę i ciastka. Niby drobiazg, ale ileż to dawało radości biedocie z sądeckich slumsów.

Tego rodzaju gesty podbudowujące w praktyczny sposób pedagogikę ks. Sulmy, miewały miejsce często i weszły niejako w program jego nauczycielskiej działalności.

Oto przykłady: lekcja. W pewnej chwili ksiądz profesor przerywa wykład i zaczyna ni stąd ni zowąd z zupełnie innej beczki: *„Dziopki" — ja o sprawach ważnych, a Wam na pewno kiszki głodowego marsza grają! Jazda do sklepu!* I grzebie w potężnych kieszeniach sutanny za pieniądzmi. „Dziopki" (wiejska nazwa dziewcząt) ogromnie się zawsze peszyły i zapewniały o sytości — ale nie miały siły, aby sprzeciwić się życzeniu Księdza Profesora: *„Bo się obrazi"* — tłumaczyły się i biegły z wy-

liczonymi pieniądzmi po wyliczoną ilość kanapek.

Takie gesty dziś, gdy na parapetach szkolnych okien widzimy porzucone bułki z wędliną — społeczeństwo przyjęłoby jako obrazę. Ale w latach dwudziestych, gdy bezrobocie i nędza gnębiły odradzający się kraj — postawa księdza była dla uczniowskiej biedoty wręcz błogosławieństwem.

Tym bardziej, że oprócz wspomnianych wyżej kanapek miał ks. Sulma umówionego piekarza, który raz w tygodniu zjawiał się na godzinach ks. Sulmy z potężnym koszem wspaniałego pieczywa.

To żadna łaska — tłumaczył się ksiądz lekko zażenowany. *Bo jeśli w Modlitwie Pańskiej prosimy: „chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj" — to mogę się uważać tylko za narzędzie, któremu Bóg dał możliwość przyjścia bliźniemu także z taką pomocą…*

Ostatnia droga

U końca każdej radości wisi cień smutku. Taki wielki cień zawisł nad miastem i ziemią sądecką, gdy w niedzielę, 2 grudnia 1928 r., rozeszła się wieść o niespodziewanej śmierci ks. Sulmy. W powszechnym żalu uczestniczyli wszyscy: Polacy, Żydzi, Rusini i Niemcy. Katolicy, innowiercy i niewierzący. Płakali za nim wszyscy, bo wielkość świętości księdza Sulmy polegała na tym, że nie segregowała ludzi według wyznań, ale najgłębiej pojętą dobrocią ogarniała wszystkich. A szczególnie biedotę, chorych i dotkniętych jakimkolwiek rodzajem cierpienia.

Ten społeczny wymiar żalu osiągnął apogeum w dniu uroczystości pogrzebowych. Nowosądecką kolegiatę, zwaną powszechnie farą wypełniły tłumy, które nie mieszcząc się w świątyni — zalegały całą ulicę Św. Ducha i część rynku.

Na ambonę wszedł proboszcz sądeckiej parafii, ks. Roman Mazur i pragnąc pożegnać najlepszego z pracujących u niego księży, zaczął: *Czym będzie Nowy Sącz bez Księdza Sulmy…* Dalsze słowa zginęły w ogromnej fali płaczu i szlochu. Ksiądz łamiącym się głosem zdążył jeszcze dodać: *Nie mogę nic więcej powiedzieć. Mogę tylko płakać razem z wami i modlić się*. I zszedł z ambony.

Cechą pogrzebu ks. Sulmy była nie notowana dotąd w dziejach tego rodzaju uroczystości ilości uczestników. Nie piszę „wiernych". W pogrzebowym tłumie widziano starszą Żydówkę, której ks. Sulma podpisał weksel na założenie sklepiku i zasmarkaną Żydóweczkę, której na polecenie księdza Sulmy i z dostarczonego przezeń materiału dziewczęta z Seminarium uszyły koszulę…

Tłum był tak wielki, że gdy czoło konduktu wchodziło w bramę cmentarza — ostatnie szeregi ustawiały się do pochodu na ul. Ducha Świętego. W uroczystości wzięło udział kilkudziesięciu księży: z kościołów sądeckich i sąsiednich parafii, cały

konwent jezuitów: ojcowie i bracia z superiorem **St. Ciskiem** na czele.

Był także rabin z dużą grupą żydowskiej biedoty oraz przedstawiciele parafii ewangelicko–augsburskiej, ze zboru przy ul. Pijarskiej i greckokatolickiej wspólnoty, z cerkwi przy ul. Kunegundy 8.

W czołówce reprezentacyjnej stanęli przedstawiciele władz państwowych, miejskich i szkolnych, najbliżsi krewni z rodzinnej Szczurowej, oraz delegacje 1. Pułku Strzelców Podhalańskich, aktyw Sokolstwa, harcerstwa i innych organizacji społecznych.

Kondukt posuwał się ulicami: Jagiellońską, Grodzką i Rejtana. Wzdłuż całej trasy, na znak żałoby paliły się uliczne lampy, a wszystkie sklepy, warsztaty i zakłady usługowe były zamknięte. Słyszało się: *miasto trzyma żałobę, bo umarł Ojciec…*

A oto strzęp pogrzebowych wspomnień pani „N" — dziś siwej staruszki, ongiś uczennicy ks. Sulmy, która zastrzegła sobie anonimowość:

> *„Trochę spóźniona — szłam w pogrzebowym tłumie, starając się przemykać w gąszczu żałobników, aby znaleźć się możliwie blisko trumny i otaczającej ją gromady koleżanek.*
>
> *I właśnie tu doznałam wstrząsu: nie dlatego, że uczestnicząca w pogrzebie orkiestra kolejowa pepeesiaków grała Chopinowskiego „Marche de Funebre", że padały piękne słowa pełne bólu i żalu, że brzmiały chóry i jak ulewa szumiał płacz i szloch. Od tamtej chwili minęło 60 lat, a w mojej pamięci pozostało jedno: zemdlenie kilku dziewcząt — ich sine zaciśnięte usta, zamknięte oczy i przyprószone martwotą twarze…".*

X

Ten wielotysięczny manifest solidarnego żalu i hołdu — został odnotowany przez miejscową prasę w słowach:

> *„Wszystko to było objawem uczuć, które nurtowały serca i zespoliły społeczeństwo Nowego Sącza w jedną rodzinę pytającą z żalem, goryczą i zwątpieniem: co będzie bez tego kochanego Opiekuna…".*

Ot, dziennikarski obowiązek. Ale życie ma swoje żelazne prawa trwania i przemijania. Mimo wszystko i za wszelką cenę. Coś o tym powie sprawa zabiegów o godne uczczenie pamięci księdza Sulmy.

A więc najpierw był „czarny miesiąc", w ciągu którego grono najbardziej zdeterminowanych uczennic z jego szkół nosiło żałobę, płakało i modliło się. To wprawdzie sprawy nie rozwiązywało, ale żałoba zaowocowała bardziej konkretnymi zobowiąza-

niami: Musimy! I — wybudować piękny pomnik, II — Dom wypoczynkowy im. Księdza Sulmy, dla nauczycielek, III — tablicę ku Jego czci.

Zaczęto od powołania Komitetu Budowy Domu Wakacyjnego w Wierchomli. Sprawa nie była nowa. Ks. Sulma trzy lata przed śmiercią nakłonił Dyrekcję Seminarium Nauczycielskiego do zakupu 5–cio hektarowej parceli pod budowę. Jednak konieczność budowy własnego gmachu szkolnego — sprawę Wierchomli przesunęła na dalszy plan.

Śmierć księdza odnowiła problem uczczenia pamięci drogiej sercom osoby poprzez realizację jego marzeń. Już 29 XII 1928 r. odbyło się w tej sprawie pierwsze zebranie, przy udziale 78 byłych uczennic Seminarium, na którym wybrano komitet budowy, w skład którego weszli: dyrektor Seminarium **Piotr Zieliński**, członkowie dyrekcji ks. Piotr Maciaszek i **Wojciech Janczy** oraz byłe uczennice Seminarium: **Janina Starakowa**, **Wanda Bielczykówna** i **Br**

Zebrani zapoczątkowali z miejsca doraźną zbiórkę i opracowali apel do byłych uczennic z deklaracją o dowolną wpłatę na cel budowy.

Sprawą budowy zainteresowała się lokalna prasa, otwierając listę składek na Dom Nauczycielski im. Ks. Sulmy w Wierchomli. Np. *„Kurier Podhalański"*, nr 50, z dnia 9 XII 1928 r., po pięknym opisie pogrzebu ks. Sulmy — zawiadamia o otwarciu listy ofiar na budowę domu w Wierchomli i donosi, że na ten cel już wpłynęło 20 zł od pp. Lazarewiczów. To samo pismo z dnia 17 II 1929 r. zawiadamia, że dotychczas na budowę wpłynęło 9.649 zł.

Z innych źródeł wiadomo, że ogółem na ten cel zebrano 20.000 zł. Z czasem klimat wokół tej sprawy nieco się wyciszył: budowy nie podjęto, a zebrane fundusze przeznaczono na remont internatu.

Wojna mocno przerzedziła szeregi entuzjastek ks. Sulmy, a po wojnie sprawa budowy zdezaktualizowała się w ogóle. Łemków zamieszkujących Wierchomlę przesiedlono w osławionej akcji „Wisła", plac na którym miał stanąć Dom im. Ks. Sulmy został upaństwowiony i na tym się właściwie akt II hołdu ku czci ks. Sulmy kończy.

Lepiej się powiodło tej części Komitetu, która przyjęła za cel budowę pomnika. Zespół złożony z grona najbardziej zaangażowanych uczennic i przyjaciół ks. Sulmy — zdołał zebrać odpowiednią kwotę, zamówić projekt i po zatwierdzeniu przez odpowiednie władze — przekazać go do wykonania znakomitemu artyście — rzeźbiarzowi, **R. S. Lubowieckiemu** w Warszawie.

Niestety, nie udało się ustalić, kto projektował pomnik i kiedy został odsłonięty. Jedno jest pewne: i projektant, i wykonawca stworzyli swego rodzaju arcydzieło, należące do najpiękniejszych okazów sztuki epitafijnej na cmentarzu komunalnym w Nowym Sączu.

Aby się o tym przekonać, wystarczy mającym poczucie piękna, podejść główną aleją cmentarza komunalnego od strony szpitala i stanąć przed kamiennym obeliskiem ze ściętym narożem, gdzie artysta umieścił popiersie ks. Sulmy, z klęczącym u jego stóp dziewczęcej postaci aniołem, który zapłakaną twarz oparł o profil księdza. Punktem centralnym rzeźby jest twarz ks. Sulmy, która mimo, że kamienna emanuje dziwną łagodnością i dobrocią. Jak żywa.

Na trzeci etap realizacji wspomnianego „Musimy" — trzeba było czekać około 50 lat. Dopiero w 1971 r., gdy wróciła do Nowego Sącza dawna uczennica ks. Sulmy, dr med. **Jadwiga Jabłkowska**, z siostrą **Heleną Wajdą** i gronem upartych entuzjastek „czarującego katechety", zwróciły się do ks. proboszcza Stanisława Czachora z prośbą o zezwolenie na umieszczenie w kościele św. Kazimierza, popularnej ongiś „Kaplicy Szkolnej", tablicy ku czci ks. Sulmy. Fundatorki postawiły warunek zasadniczy: Tablica winna się znaleźć przed wielkim ołtarzem w towarzystwie istniejących już poświęconych pamięci najbliższych przyjaciół ks. Sulmy: ks. Michała Klamuta i ks. **Michała Nowickiego**.

Życzenia fundatorek nie mogły być uwzględnione, gdyż odpowiednie miejsca przed ołtarzem były już zajęte. Po długich „negocjacjach" — proboszcz przejął sprawę w swoje ręce, zlecając wykonanie projektu i tablicy znanemu artyście metaloplastykowi, profesorowi WSP w Krakowie, **Czesławowi Chromemu**.

Pomyślana i wykonana przez prof. Chromego kompozycja, oparta na motywach Dobrego Pasterza, znalazła miejsce w lewej części holu przy wejściu do kościoła św. Kazimierza. Tym aktem sprawa została definitywnie zamknięta.

Dobry Pasterz, zgodnie ze stylem swego katechetycznego apostołowania, nadal patronuje kazimierzowskiej młodzieży. Jak w ciągu 15 lat, gdy w każdą niedzielę, stojąc pod filarem wejściowym modlił się i obserwował, jak zachowuje się jego żeńska czeladka.

Przy okazji jedno, ale: tablica odsłonięta i poświęcona w 1979 r., w 50. rocznicę śmierci ks. Sulmy, nie została wyposażona w efekty świetlne, co pomniejsza jej artystyczne walory, a w stosunku do prawostronnej części holu, z bogatym zespo-

łem symboliki harcerskiej — nadaje wygląd ubogiej krewnej.

Ale dla garstki byłych uczennic ks. Sulmy winien wystarczyć fakt, że tablica jest. Wspomniany mankament można zawsze zlikwidować założeniem ładnie skomponowanego pod względem plastycznym zestawu żarówek.

P.S. Pragnę złożyć najserdeczniejsze podziękowania Pani Dr Jadwidze Jabłkowskiej i Pani Zofii Flis za materiały, na podstawie których szkic niniejszy został opracowany

Autor

Marcin Krakowski

SZUKAĆ TEGO CO ŁĄCZY, NIE TEGO CO DZIELI — ROZMOWA Z ANDRZEJEM KLOSKE

Sądeczanie wiedzą dobrze, iż przy ulicy Pijarskiej w Nowym Sączu znajduje się kościół ewangelicko–augsburski pw. Przemienienia Pańskiego. Obecnie przy tym kościele są prowadzone prace remontowo–rewaloryzacyjne mające na celu, przydanie nowego blasku tej świątyni i przywrócenie jej pierwotnej świetności. Przy tej okazji, zaprosiłem do rozmowy na łamach *„Almanachu Sądeckiego"* — **Andrzeja Kloske** (studenta V roku Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej) — sprawującego praktykę duszpasterską nad sądeckimi ewangelikami.

M. K.: *Jaka jest historia Kościoła Ewangelicko–Augsburskiego w Polsce? Jaka jest geneza i pochodzenie nazwy Kościoła, którego jesteś duchownym?*

A. K.: Kościół Ewangelicko–Augsburski powstał po reformacji. Nasze pierwsze kontakty z luteranizmem datują się na koniec działalności Marcina Lutra. No i tak, jak reformacja miała wydźwięk w całej Europie, to i również docierała ona do Polski. Trochę myląca może być nazwa naszego Kościoła, bo nie wiadomo z czym ją kojarzyć. Ewangelicki dlatego, ponieważ jesteśmy przywiązani do Ewangelii, a augsburski dlatego, że w 1530 roku powstała Konfesja Augsburska, która jest wiodącą księgą symboliczną — czyli księgą, która wyznacza kierunek, w jakim podąża nasz Kościół. Nie stoi ona jednak na tym samym autorytecie na jakim opiera się Pismo Święte.

M. K.: *Czy mógłbyś wymienić podstawowe nauki głoszone przez Kościół — którego jesteś reprezentantem, a za niedługi czas księdzem?*

A. K.: Można to streścić w czterech **Sola**. Sola znaczy: tylko. Po pierwsze: **Sola Scriptura**. U nas liczy się tylko Pismo Święte stanowiące fundament naszej Wiary.

Po drugie: **Sola Gratia** — Tylko Łaska. Protestanci dużą wagę przywiązują do Łaski. Boża Łaska — nie człowiek decyduje o zbawieniu. Po trzecie: **Sola Fide** — Tylko Wiara. Zbawieni jesteśmy przez Wiarę. I wreszcie po czwarte: **Solus Christus** — Tylko Chrystus. Przede wszystkim Chrystus jest podstawą naszego Kościoła. Zawsze odnosimy się do Chrystusa, a nasze zwiastowanie powinno być chrystocentryczne.

M. K.: *Każdy wie, iż są różnice między katolikami, a protestantami. Jakie nauki dzielą nasze Kościoły?*

A. K.: Kwestia taka podstawowa, przeciwko której wystąpił Kościół średniowieczny, przeciwko której wystąpiła średniowieczna reformacja (Marcin Luter) — to była kwestia sztandarowa — o której często się mówi, to odpusty, czyli w jakiś sposób „kupowanie" sobie i innym zbawienia. Generalnie po pięciu wiekach dochodzimy do wniosku, iż wiele rzeczy było postawionych bardzo ostro. Wiele dróg zostało zamkniętych i to przez emocje. Zarówno z jednej, jak i z drugiej strony. U nas został zredukowany kult świętych, właściwie do Jezusa Chrystusa. Trochę inaczej pojmujemy bycie świętym: **„Świętymi bądźcie, jak i Ja jestem Świętym"** (słowa Boga zapisane w Nowym Testamencie — przyp. M. K.). My te słowa rozumiemy, iż świętym w pewien sposób — nie do końca doskonały — jest każdy z nas! Ponadto troszeczkę inaczej rozumiemy mariologię. Maria jest dla nas doskonałą kobietą, prawdopodobnie największą z kobiet. Jest wzorem jak można postępować, ale nie jest pośrednikiem w drodze do Boga. Stoi zawsze w cieniu Chrystusa. Maria jest wspaniałą kobietą! Wiele razy w naszych nabożeństwach, kazaniach wspominamy o Matce Zbawiciela.

M. K.: *Jaka jest historia luteran na Sądecczyźnie? Kiedy pierwsi ewangelicy pojawili się na naszym terenie? (na to, i na kolejne — dwa pytania odpowiedziała mi jedna z wiernych Kościoła Ewangelicko–Augsburskiego w Nowym Sączu — będąca luteranką od dziecka — a dzisiaj mająca 64 lata)*

A. A.: Nasze początki na Sądecczyźnie sięgają końca XVIII wieku. To był czas kolonizacji, za cesarza **Józefa II**. Ja sama urodziłam się w rodzinie ewangelickiej, która tu mieszka od XVII wieku. Moi pradziadowie są tu od zawsze.

M. K.: *Czy może mi Pani powiedzieć: jaka jest historia powstania zboru ewangelickiego w Nowym Sączu?*

A. A.: Mogę Panu powiedzieć, że ten budynek (kościoła przy ulicy Pijarskiej — przyp. M. K.) i budynki parafialne zostały zakupione od miasta — ale podobno z rąk żydowskich — w roku 1800, dla grupy ewangelików sądeckich, którzy w większości byli kolonistami niemieckimi. Po II wojnie światowej niemieckich ewangelików zostało na Sądecczyźnie bardzo niewielu, bo kościół został we władaniu polskiej grupy

ewangelików. Nasi parafianie pochodzą z terenu samego miasta, ale są także przyjezdni m. in. z Krynicy, wiosek krynickich, Rabki. Nie wszyscy też zbieramy się na każdym nabożeństwie.

M. K.: *Przed wejściem do Waszego kościoła można na jednej z tablic przeczytać: Kościół Ewangelicko–Augsburski pw. Przemienienia Pańskiego. Skąd ta nazwa?*

A. A.: Parafia Przemienienia Pańskiego, ponieważ w tym kościele — który swego czasu był znacznie większy — był obraz Przemienienia Pańskiego, który obecnie, po kolejnym pożarze, w którym spłonął główny kościół — bo był drewniany — znajduje się w kościele św. Małgorzaty, w sądeckiej farze. Ale nazwa — Przemienia Pańskiego nadal przysługuje naszemu kościołowi.

M. K.: *W jakim wieku można zostać pełnoprawnym członkiem Waszego Kościoła?*

A. K.: W życiu każdego ewangelika bardzo ważnym dniem w życiu, jest dzień konfirmacji. Konfirmacja jest wprowadzeniem na pełnoprawnego członka parafii, jest to gdzieś VII czy VIII klasa szkoły podstawowej, oczywiście może być to wiek późniejszy. Jest to moment, który następuje po katechizacji, lekcjach „szkółek niedzielnych", po całym procesie biblijnej edukacji. Dlatego tak późny wiek, bo uważamy, że wcześniej człowiek samodzielnie nie jest w stanie powziąć odpowiedniej decyzji i konkretnie opowiedzieć się za tym, czy związać się z życiem Kościoła.

M. K.: *Kościół Ewangelicko–Augsburski jest członkiem Polskiej Rady Ekumenicznej (na czele której — notabene — stoi prezes Konsystorza Waszego Kościoła — biskup **Jan Szarek**). Jak wygląda ekumenizm ewangelików z katolikami?*

A. K.: Polska Rada Ekumeniczna skupia kościoły mniejszościowe (np. Ewangelicko–Augsburski, Reformowany, Metodystyczny, Starokatolicki, Mariawitów, Polsko–Katolicki, Prawosławny i inne — przyp. M. K.) bez Kościoła Rzymsko–Katolickiego. PRE ma swoje oddziały na terenie całego kraju, jeden z takich oddziałów znajduje się w Krakowie. Zarówno katolicy, jak i my protestanci — chcemy dojść do jedności, do porozumienia w określonej kwestii teologicznej. Myślę — iż bardzo pięknym owocem naszej długoletniej współpracy ekumenicznej jest: Międzywyznaniowy przekład Ewangelii św. Mateusza. Z tego co mi wiadomo, w przygotowaniu są następne księgi Nowego Testamentu. Przed rokiem 2000 ma zostać wydane Pismo Święte (Starego i Nowego Testamentu) w wersji ekumenicznej.

M. K.: *Interesuje mnie podejście Waszego Kościoła do zagadnienia sekt i tzw. „nowych ruchów religijnych". Czy Wy bronicie się przed tym — zjawiskiem, a jeśli tak — to w jaki sposób?*

A. K.: Dostrzegamy działalność destrukcyjnych sekt czy nowych ruchów religijnych. Jest tu potrzebna dosyć duża wiedza, aby rozróżnić sektę od innego związku

wyznaniowego. Jako duchowni staramy się mieć kontakt bezpośredni ze swoimi parafianami. Reagujemy — wówczas, gdy jakaś sekta zagraża naszym wiernym. Uważam, iż sekty są zagrożeniem „mikro" — ponieważ łatwo można sobie z nimi poradzić, czy też im przeciwdziałać. Dzisiaj największym zagrożeniem jest sekularyzm i obojętność religijna wśród wielu ludzi, a zwłaszcza u osób młodych. I w tym dostrzegałbym największe zagrożenie dla naszego Kościoła. Sekta jest to grupa, przeciwko której można wystąpić, są argumenty, z którymi można dotrzeć do emisariuszy tych radykalnych grup wyznaniowych i racjonalnie, logicznie przedstawić im Prawdę. A jeżeli ludzie są obojętni, nastawieni antyreligijnie, to trudno w sposób misyjny starać się o ich nawrócenie.

M. K.: *To pytanie powinno było paść na samym początku naszej rozmowy. Ilu jest ewangelików w Polsce? Jaki procent tej liczby znajduje się na Sądecczyźnie?*

A. K.: Szacunkowo mówi się o 70, 80 tysięcy wiernych. W samej — Małopolsce jest nas w granicach: 500 do 1000. Największe jednak — skupisko ewangelików jest na Śląsku Cieszyńskim, bo właściwie jest tam 2/3 ogółu ewangelików w Polsce. Natomiast na Sądecczyźnie jest nas niewielu, nie znam dokładniej liczby. Kilkadziesiąt osób przychodzi na nasze nabożeństwa.

M. K.: *Bardzo cieszę się z naszego spotkania. Mam nadzieję, iż nasze kontakty będziemy podtrzymywać. Chciałbym jednak poprosić Ciebie — jako przyszłego księdza ewangelickiego o refleksję dla Czytelników „Almanachu Sądeckiego"*

A. K.: Wszyscy jesteśmy Kościołem Katolickim, jeśli katolickość rozumieć jako powszechność. Każdy z nas w wyznaniu Wiary wyznaje, iż przynależy do Kościoła Powszechnego. Myślę, że nasze kontakty byłyby lepsze, gdybyśmy trochę więcej o sobie wiedzieli. Bardzo ważne jest budowanie swojej Wiary i tutaj nie jest ważna instancja Kościoła — przynajmniej ja tak uważam. Najważniejszy jest jednak kontakt z Bogiem. Bo to My — jesteśmy przed Bogiem, a nie Kościół za nas. Jeśli wyjdziemy od tej podstawy, to wówczas możemy bardzo dobrze ze sobą rozmawiać. Dobrze by było, abyśmy zwracali uwagę na to, co nas łączy, a nie to co nas dzieli.

M. K.: *Dziękuję za rozmowę.*

Od autora:

Od dnia 1 listopada 1997 — zgodnie z protokołem wyborczym Zgromadzenia Parafialnego Parafii Ewangelicko–Augsburskiej w Nowym Sączu — funkcję proboszcza zajmuje ks. Paweł Badura.

Jerzy Giza

SĄDECZANIE W SEJMIE RP II RZECZYPOSPOLITEJ

Na łamach *„Almanachu Sądeckiego"* pisałem już o sądeckich generałach, kawalerach Orderu Wojennego Virtuti Militari, katyńczykach, czy wreszcie o sądeckich historykach. Ten tekst został poświęcony ocaleniu od zapomnienia tych kilkunastu sądeckich posłów na Sejm, którzy reprezentowali nasz region we władzach państwowych II Rzeczypospolitej. Związani byli ze Sądecczyzną urodzeniem, zamieszkaniem, działalnością, choć często kandydowali z list wyborczych nie z nowosądeckiego okręgu. Działo się to wszystko, począwszy od pierwszego posiedzenia Sejmu, zwanego Ustawodawczym, które miało miejsce 10 lutego 1919 roku, aż po ostatnie posiedzenie Sejmu V kadencji, które odbyło się 2 września 1939 roku.

W opisywanym okresie sześć razy zmieniał się skład polskiego parlamentu, a trzy razy zmieniał się dla Sądecczyzny numer okręgu wyborczego i jego konfiguracja. W wyborach do Sejmu Ustawodawczego okręg nr 40 stanowiły powiaty Nowy Sącz, Gorlice i Grybów, a kadencja ta trwała od lutego 1919 do listopada 1922 roku. Przez następne kadencje: I (listopad 1922–listopad 1927 r.), II (marzec 1928–marzec 1930 r.) i III (grudzień 1930–czerwiec 1935 r.) w skład okręgu wyborczego nr 44 wchodziły powiaty Nowy Sącz, Limanowa, Bochnia i Wieliczka. W dwóch ostatnich kadencjach Sejmu przed wybuchem II wojny światowej tj. IV (październik 1935–lipiec 1938 r.) i V (listopad 1938–wrzesień 1939 r.) okręg nr 86 obejmował powiaty Nowy Sącz i Nowy Targ.

* * *

Jan Bielak — urodził się 21 maja 1885 roku w Siedlcach (kilkanaście kilometrów na północny–wschód od Nowego Sącza) jako syn Stanisława i Katarzyny Nowak. Ukończył Seminarium Nauczycielskie w Starym Sączu i do 1910 roku uczył w szkole ludowej w Hadykówce, a do 1914 roku w szkole w Kolbuszowej. Na terenie powiatu kolbuszowskiego był działaczem organizacji niepodległościowych m.in. komisarzem powiatowym NKN i założycielem miejscowej Drużyny Bartoszowej. Podczas I wojny światowej walczył w Legionach Polskich, ale ze względu na stan zdrowia został zwolniony i do 1918 roku pracował w komitecie do spraw opieki nad uchodźcami polskimi w Czechach. W 1919 roku był z ramienia Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego inspektorem rolnym na powiaty kolbuszowski, mielecki, niski i tarnobrzeski. W 1920 roku wstąpił ochotniczo do Wojska Polskiego i wziął udział w wojnie z bolszewikami. Od 1921 do 1922 roku uczył w szkole ludowej w Mańkowicach koło Stolina w województwie poleskim. Był posłem na Sejm I kadencji (1922–1927) z listy PSL „Piast" w okręgu wyborczym nr 46 (Jasło, Kolbuszowa, Mielec, Ropczyce, Strzyżów, Tarnobrzeg). W Polskim Stronnictwie Ludowym pełnił m.in. funkcję prezesa zarządu powiatowego w Kolbuszowej. Następnie był kierownikiem szkoły w Trzebosi koło Sokołowa, a od 1937 roku w Mrowli koło Rzeszowa. Zmarł 20 maja 1943 roku w Krośnie, a pochowany został na cmentarzu w Rzeszowie. Ożenił się z Józefą Banaś, z którą miał córkę Janinę Wojton i syna Zbigniewa (inżyniera).

Jakub Bodziony — urodził się 24 maja 1886 roku w Świniarsku (kilka kilometrów na południowy–zachód od Nowego Sącza) jako syn Jakuba i Zofii Bulzak. W 1907 roku ukończył Seminarium Nauczycielskie w Starym Sączu i rozpoczął pracę w szkołach ludowych w Świniarsku, Woli Kurowskiej i Zbyszycach. Podczas I wojny światowej służył krótko (ze względu na stan zdrowia) w batalionie zapasowym 32. pułku piechoty Obrony Krajowej „Neu Sandez" w Bochni. W latach 1920–1935 był przewodniczącym oddziału powiatowego ZNP w Nowym Sączu, a od 1925 roku kierownikiem szkoły powszechnej w Chełmcu. Był także członkiem Rady Powiatowej, wiceprzewodniczącym komisji rolnej oraz rady nadzorczej powiatowej Komunalnej Kasy Oszczędności w Nowym Sączu. Działał w Towarzystwie Organizacji i Kółek Rolniczych. Od 1930 roku należał do BBWR. Był posłem na Sejm IV kadencji (1935–1938) z listy BBWR w okręgu wyborczym nr 86 (Nowy

Sącz, Nowy Targ). Podczas okupacji niemieckiej został aresztowany przez gestapo 20 października 1939 roku i więziony w Nowym Sączu, Wiśniczu i Krakowie. W czerwcu 1940 roku wywieziony został do obozu w Oświęcimiu, a potem do obozu koncentracyjnego w Hamburgu–Neuengamme. W maju 1945 roku doczekał się wyzwolenia przez wojska amerykańskie. Następnie przebywał na leczeniu w Szwecji. Do Polski powrócił 29 października 1945 roku i objął ponownie kierownictwo szkoły w Chełmcu. Na emeryturę przeszedł w 1950 roku. Zmarł 19 listopada 1953 roku w Nowym Sączu i pochowany został na tamtejszym cmentarzu przy kościółku pw. św. Heleny. Odznaczono go m.in. Złotym Krzyżem Zasługi. Był żonaty z Emilią Ozgą i miał ośmioro dzieci. Trzy córki: Emilię (zmarłą w dzieciństwie), Marię zamężną Cabałową, Zofię zamężną Grzendową oraz pięciu synów: Antoniego (zmarłego w 1942 roku w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu), Karola, Juliusza, Józefa (zmarłego w dzieciństwie) i Jakuba.

Jan Cieluch — urodził się 19 czerwca 1865 roku w Wilczyskach (około 25 km na północny–wschód od Nowego Sącza) jako syn Jana i Marcjanny. Skromne warunki materialne pozwoliły mu na ukończenie tylko czterech klas ck I Gimnazjum w Nowym Sączu. Prowadził gospodarstwo rolne w Berdechowie koło Gromnika. Był organizatorem spółdzielni rolniczo–handlowych oraz działaczem samorządu terytorialnego. Od 1896 roku był członkiem Rady Powiatowej w Grybowie, a później jej wicemarszałkiem. Od 1908 roku wchodził do Rady Naczelnej PSL i wybrany też został na posła do Sejmu Krajowego. Podczas I wojny światowej pracował jako pisarz gminny w Berdechowie. W Polsce niepodległej był posłem na Sejm I kadencji (1922–1927) z listy PSL „Piast" w okręgu wyborczym nr 45 (Brzesko, Dąbrowa, Grybów, Gorlice, Pilzno, Tarnów). Po zjednoczeniu ruchu ludowego należał do SL i od 1936 roku przewodniczył zarządowi powiatowemu SL w Grybowie. Podczas okupacji niemieckiej został w 1943 roku aresztowany przez gestapo, ale szczęśliwie uniknął śmierci. Zmarł 22 grudnia 1956 roku w Berdechowie–Wyskitnej i pochowany został na cmentarzu w Wilczyskach. Był żonaty z Karoliną Koch, z którą miał trzech synów: Artura i Tadeusza (rolników) oraz Jana (urzędnika skarbowego w Krakowie, zamordowanego w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu) i pięć córek: Emilię Tokarz, Wandę Garlicką, Marię Biernat oraz Zofię i Karolinę.

Ignacy Jasiński — urodził się 26 lipca 1891 roku w Gołąbkowicach (na wschodnim przedmieściu Nowego Sącza). W roku szkolnym 1905/1906 był uczniem ck I Gimnazjum w Nowym Sączu, którego jednak nie ukończył. Podczas I wojny światowej służył w 20. galicyjskim pułku piechoty „Księcia Pruskiego Henryka" na froncie serbskim, rosyjskim i włoskim, gdzie został ranny. Następnie przebywał w kadrze batalionu zapasowego 20. pp. w Tarnowie i wziął udział w przewrocie wojskowym z 30/31 października 1918 roku. W Polsce niepodległej służył w I batalionie 1. pułku strzelców podhalańskich aż do zakończenia walk na froncie ukraińskim w lipcu 1919 roku. Po powrocie do rodzinnej wsi organizował kółka rolnicze i Kasy Stefczyka, był też członkiem Rady Gminnej w Gołąbkowicach. Był posłem na Sejm I kadencji (1922–1927) z listy SKL w okręgu wyborczym nr 44, stojąc od 1926 roku na czele sejmowego Klubu Katolicko–Ludowego i III kadencji (1930–1935) z listy BBWR. Był także członkiem Zarządu Głównego Stronnictwa Katolicko–Ludowego oraz członkiem redakcji *„Ludu Katolickiego"*. Zmarł 18 lutego 1941 roku w Nowym Sączu i pochowany został na cmentarzu w Gołąbkowicach.

Michał Łaskuda — urodził się 25 września 1873 roku w Jurkowie (powiat Limanowa) jako syn Sebastiana i Rozalii Fudalej. Ukończył szkołę ludową. W rodzinnej miejscowości był wójtem i przewodniczącym Kasy Stefczyka. Należał do grupy pierwszych działaczy terenowych PSL, a później PSL „Piast" w powiecie limanowskim. Od 1913 roku był w Radzie Naczelnej swej partii. Podczas I wojny światowej służył w 20. galicyjskim pułku piechoty „Księcia Pruskiego Henryka", walcząc na froncie rosyjskim i włoskim. W Polsce niepodległej był posłem na Sejm Ustawodawczy (1919–1922) z listy PSL „Piast" w okręgu wyborczym nr 39 (m.in. powiat Limanowa i Nowy Targ) i na Sejm I kadencji (1922–1927) z tej samej listy w okręgu wyborczym nr 44 (Nowy Sącz, Limanowa, Bochnia, Wieliczka). Pod koniec 1923 roku wystąpił z PSL „Piast" i znalazł się w Polskim Związku Ludowym, a po jego połączeniu z PSL–Lewicą — w Związku Chłopskim, gdzie pełnił funkcję wiceprezesa Zarządu Głównego od 1925 roku. Następnie należał do SCh i w 1926 roku wszedł w skład jego Rady Naczelnej. Zmarł w Jurkowie 29 kwietnia 1929 r. i pochowany został na miejscowym cmentarzu. Był żonaty dwukrotnie. Najpierw z Kunegundą Wątor, a następnie z Marią Sędzioł. Miał pięcioro dzieci. Córki:

Annę i Katarzynę oraz synów: Józefa, Jana i Piotra.

Jan Łobodziński — urodził się 28 maja 1897 roku w Czchowie (powiat Brzesko) jako syn Józefa i Marii Łagosz. Ukończył Szkołę Wydziałową im. ks. St. Konarskiego w Brzesku, a następnie rozpoczął praktykę w spółdzielni rolniczo–handlowej w Krakowie. Podczas I wojny światowej od sierpnia 1914 roku walczył jako żołnierz 2. pułku piechoty Legionów Polskich i w listopadzie 1915 roku został ranny w bitwie pod Wielkimi Niedźwiedziami nad Styrem. Leczył się w szpitalach wojskowych i sanatoriach do końca 1916 roku, a następnie uczył się w szkole dla inwalidów wojennych w Krakowie, kończąc jednocześnie kurs na Akademii Handlowej. W Polsce niepodległej pracował od 1919 roku jako lustrator Kółek Rolniczych w Nowym Sączu, a od 1921 roku w miejscowym oddziale Związku Inwalidów Wojennych. Przez pewien czas był też dyrektorem Spółdzielni Inwalidów Wojennych w Nowym Sączu, a później domów wczasowych „Zgoda" i „Riviera" w Krynicy. W 1922 roku wszedł w skład Zarządu Głównego ZIW, będąc od 1933 roku jego wiceprezesem. Od 1927 roku był członkiem Rady Miejskiej w Nowym Sączu oraz lokalnych władz Związku Strzeleckiego i Związku Legionistów Polskich (w 1935 roku wybrano go prezesem oddziału). W 1934 roku dokooptowany został do Sejmu III kadencji z ramienia BBWR. Był też posłem na Sejm IV kadencji (1935–1938) z listy BBWR w okręgu wyborczym nr 86 (Nowy Sącz i Nowy Targ) oraz V kadencji (1938–1939) z listy OZN w tym samym okręgu. Podczas okupacji niemieckiej został aresztowany przez gestapo w październiku 1939 roku i więziony w Nowym Sączu i Tarnowie. W latach 1940–45 był więźniem obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen (nr 29354). Po jego wyzwoleniu w maju 1945 roku przez wojska amerykańskie, powrócił zaraz do Nowego Sącza i zorganizował Związek Byłych Więźniów Politycznych, którego został pierwszym prezesem. W listopadzie 1945 roku zaczął pracę w Zarządzie Głównym ZIW w Warszawie, a potem jako delegat ZG w Krakowie. Przyczynił się do powstania bursy dla młodych inwalidów, Domu Dziecka na Kowańcu dla sierot po poległych, a także domu wypoczynkowego dla ociemniałych żołnierzy w Muszynie. Po rozwiązaniu ZIW w okresie stalinowskim, pracował aż do przejścia na emeryturę w 1967 roku jako kierownik krakowskich restauracji. Od lat sześćdziesiątych brał udział w pracach konspiracyjnej Grupy „Oleandry"

Związku Legionistów Polskich w Krakowie i Nowym Sączu, fundując trzy tablice memoratywne poświęcone żołnierzom Legionów Polskich 1914–1918 w Krakowie (kościół oo. Kapucynów), w Nowym Sączu (kościół oo. Jezuitów) i w Wieliczce (kościół oo. Reformatów). W 1966 roku Rząd RP na Uchodźstwie mianował go podporucznikiem. W 1973 roku przekazał do skarbca Katedry Królewskiej na Wawelu, uratowany przez siebie z pożogi wojennej, sztandar nowosądeckiego oddziału ZLP (obecnie znajduje się w krakowskim Muzeum Czynu Niepodległościowego). Od 1980 roku był wiceprezesem Komitetu Opieki nad Kopcem Józefa Piłsudskiego w Krakowie. Zmarł 16 lipca 1983 roku w Krakowie i pochowany został na Cmentarzu Rakowickim. Odznaczony był m.in. Krzyżem Kawalerskim i Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Niepodległości, Złotym Krzyżem Zasługi oraz Orderem „Virtuti Civili". Ożenił się z Heleną Słabówną i miał troje dzieci. Córkę Zofię Łobodzińską–Rolle oraz synów Władysława i Andrzeja.

Piotr Majcher — urodził się 26 czerwca 1874 roku w Chełmcu Polskim (na zachodnich przedmieściach Nowego Sącza). Ukończył czteroklasową szkołę ludową i dwie klasy szkoły wydziałowej. Służbę wojskową odbył w 20. galicyjskim pułku piechoty „Księcia Pruskiego Henryka". Utrzymywał się z gospodarstwa rolnego, ale był także zaangażowany w działalność społeczną. Przyczynił się m.in. do wybudowania szkoły w Chełmcu. W swej rodzinnej miejscowości od 1903 do 1934 roku był wójtem, od 1912 roku członkiem rady powiatowej, prezesem miejscowej Kasy Raiffeisena i aktywnym działaczem Stronnictwa Katolicko–Ludowego. W Polsce niepodległej był posłem na Sejm Ustawodawczy z listy SKL w okręgu wyborczym nr 40. Zamieszczał często korespondencje w *„Ludzie Katolickim"* oraz pracował w organizacjach samorządowych i gospodarczych. Zmarł 6 listopada 1938 roku w Chełmcu i pochowany został na cmentarzu przy kościółku pw. św. Heleny.

Jakub Pawłowski — urodził się 21 marca 1884 roku w Żbikowicach (kilkanaście kilometrów na północny–zachód od Nowego Sącza) jako syn Marcina i Reginy Gołąb. Był absolwentem ck I Gimnazjum w Nowym Sączu (matura w 1905 roku). Następnie ukończył studia na Wydziale Budownictwa Wodnego Politechniki we Lwowie. Od 1914 roku był kierownikiem Zarządu Drogowego w Dobromilu oraz kierownikiem budo-

wy wodociągów w Dobromilu i Nowym Sączu. W latach 1918/19 był starostą w Dobromilu, a następnie, aż do 1927 roku, wchodził do Tymczasowego Wydziału Samorządowego we Lwowie, był też członkiem Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego i założycielem Składnicy Kółek Rolniczych. Od 1920 do 1923 roku należał do PSL „Piast", a następnie był we władzach centralnych Polskiego Związku Ludowców, potem Związku Chłopskiego, a od 1926 roku Stronnictwa Chłopskiego. Od 1931 roku był działaczem Stronnictwa Ludowego, m.in. wiceprzewodniczącym Zarządu Okręgu na Małopolskę, a w latach 1933–35 członkiem Rady Naczelnej SL. Był także posłem do Sejmu I kadencji (1922–1927), II kadencji (1928–1930) i III kadencji (1930–1935) z listy partii chłopskich w okręgu wyborczym nr 48 (Przemyśl, Dobromil, Sanok, Brzozów, Krosno). We wrześniu 1939 roku zaraz po wkroczeniu Armii Czerwonej do Dobromila był poszukiwany przez NKWD. Przedostał się więc do niemieckiej strefy okupacyjnej i w latach 1940–44 wziął udział w konspiracji i tajnym nauczaniu na terenie powiatu limanowskiego oraz brzeskiego. Po zakończeniu II wojny światowej kierował w latach 1945/46 Zarządem Powiatowym PSL w Limanowej, aby następnie pracować w spółdzielczości, a od 1948 roku kierować Wydziałem Komunikacji Powiatowej Rady Narodowej w Nowym Sączu. Zmarł 16 marca 1959 roku w Krakowie i pochowany został na Cmentarzu Rakowickim. Posiadał liczne rodzeństwo, w tym m.in. brata Ferdynanda (1894–1987) legionistę, lekarza, kawalera Orderu Wojennego Virturi Militari (biogram Ferdynanda Pawłowskiego znajduje się w *„Almanachu Sądeckim"* nr IV/1994). Był żonaty z Marią Osuchowską i miał troje dzieci: Zbigniewa (sędziego), Marię (nauczycielkę) i Zofię zamężną Budziszewską (prawnika). Żona i córka Zofia zostały zesłane przez NKWD z Lwowa do Kazachstanu, gdzie przebywały od kwietnia 1940 do marca 1946 roku.

Jan Pawłowski — urodził się 1 marca 1897 roku w Muszynie (na południowy–wschód od Nowego Sącza) jako syn Józefa i Elżbiety Bełdowicz. W latach 1910–1914 uczęszczał do ck II Gimnazjum w Nowym Sączu. Od lutego 1917 do października 1918 roku służył w armii austro–węgierskiej. Zaraz po zakończeniu się I wojny światowej złożył jako eksternista egzamin maturalny w sądeckim gimnazjum, którego wcześniej był uczniem. W latach 1918–1921 służył w Wojsku Polskim i został przeniesiony do rezerwy w stopniu kapitana. Następnie roz-

począł studia na Akademii Handlowej w Krakowie i Wydziale Prawa UJ. Pierwsze ukończył w 1922 roku, rozpoczynając pracę w krakowskiej Izbie Skarbowej, a drugie w 1927 roku. Od 1924 roku pracował jako urzędnik państwowy, najpierw w Straży Celnej w Szczawnicy, a później w Sanoku. Od 1928 roku był sekretarzem wydziału powiatowego w Kopyczyńcach. W marcu 1934 roku został wiceprezydentem Tarnopola. Należał do Obozu Zjednoczenia Narodowego. Był posłem na Sejm V kadencji (1938–1939) z listy OZN w okręgu wyborczym nr 65 (Borszczów, Czortków, Kopyczyńce, Zaleszczyki). Po wkroczeniu do Tarnopola we wrześniu 1939 roku Armii Czerwonej był dwukrotnie aresztowany przez NKWD i zwalniany. W styczniu 1940 roku przedostał się do niemieckiej strefy okupacyjnej. Od tego momentu aż do końca II wojny światowej pracował m.in. jako robotnik w kamieniołomach w Dukli, nauczyciel w Szkole Handlowej w Krośnie, a później kierownik mleczarni tamże. Od 1946 roku pracował w różnych instytucjach na Górnym Śląsku. Zmarł 21 maja 1970 roku w Gliwicach i pochowany został na Cmentarzu Centralnym tamże. Ożenił się ze Stanisławą Gwoździewicz, z którą miał córkę Annę Pawłowską–Marzec (profesora chemii PAN).

Bronisław Pieracki — urodził się 28 maja 1895 roku w Gorlicach jako syn Stanisława i Eugenii Budziszewskiej. Absolwent ck I Gimnazjum w Nowym Sączu (1914 r.), członek konspiracyjnych organizacji niepodległościowych, oficer 2. i 4. pułku piechoty Legionów Polskich, obrońca Lwowa 1918/1919, później m. in. pułkownik Wojska Polskiego (1924 r.). Był posłem na Sejm II kadencji od marca 1928 roku z listy BBWR w okręgu wyborczym nr 44 (Nowy Sącz, Limanowa, Bochnia, Wieliczka). W Sejmie był przewodniczącym Komisji Wojskowej, członkiem Komisji Administracyjnej i wiceprzewodniczącym poselskiego Klubu BBWR. W październiku 1928 roku zrzekł się mandatu w związku z objęciem stanowiska II zastępcy szefa Sztabu Generalnego. Od 1930 roku aż do śmierci piastował różne stanowiska rządowe m.in. Ministra Spraw Wewnętrznych. Zginął 15 czerwca 1934 roku, zastrzelony w Warszawie przez ukraińskiego zamachowca. Pośmiertnie mianowany został generałem brygady i spoczywa na Cmentarzu Komunalnym w Nowym Sączu. Odznaczony był m.in. Orderem Orła Białego, Orderem Wojennym Virtuti Militari V klasy, Wielką Wstęgą Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Niepodległości, Krzyżem Walecznych

i innymi. Był Honorowym Obywatelem Miasta Nowego Sącza. Rodziny nie założył. Obszerny biogram znajduje się w książce J. Gizy pt. *Sądeccy generałowie*, a także był publikowany w *„Almanachu Sądeckim"* nr III/1995.

Jan Potoczek — urodził się 16 kwietnia 1857 roku w Rdziostowie (kilka kilometrów na zachód od Nowego Sącza) jako syn Błażeja i Marii Płachty. Ukończył szkołę ludową i sześć klas ck I Gimnazjum w Nowym Sączu. Utrzymywał się z prowadzenia gospodarstwa w Rdziostowie. Od 1881 roku był członkiem rady powiatowej w Nowym Sączu. W 1891 roku zdobył mandat poselski do austriackiej Rady Państwa. W 1893 roku był jednym z założycieli Związku Stronnictwa Chłopskiego, w którym pełnił funkcję sekretarza Zarządy Głównego. W 1905 roku przeszedł do Polskiego Centrum Ludowego. W 1911 roku ponownie uzyskał mandat do austriackiej Rady Państwa i był członkiem Izby Deputowanych wybranym jak poprzednio z okręgu nr 48. Od 1913 roku był też wiceprezesem Zarządu Powiatowego w Nowym Sączu Towarzystwa Kółek Rolniczych. W 1917 roku przeszedł do Stronnictwa Katolicko–Ludowego. W tym też czasie zamieszkał w Świniarsku i tam prowadził gospodarstwo rolne. Był posłem na Sejm Ustawodawczy (1919–1922) z listy Polskiego Zjednoczenia Ludowego w okręgu wyborczym nr 39 (m.in. powiaty Nowy Targ i Limanowa). Po upływie kadencji wycofał się z aktywnego życia politycznego, zajmując się gromadzeniem książek dotyczących historii Sądecczyzny. Zmarł 3 grudnia 1941 roku w Świniarsku i pochowany został na cmentarzu przy kościółku pw. św. Heleny w Nowym Sączu. Był dwukrotnie żonaty. Najpierw z Anną Kumor, z którą miał syna Jana (rolnika w Świniarsku) i dwie córki: Kunegundę Janik i Annę Kurowską, a następnie z Marianną Stawiarską, z którą miał czterech synów: Józefa i Stanisława (rolników w Świniarsku) oraz Franciszka (adwokata w Nowym Targu) i Antoniego (sędziego w Katowicach) i trzy córki: Katarzynę, Marię i Józefę. Miał także rodzeństwo: brata Stanisława i siostrę Zofię.

Narcyz Potoczek — urodził się 15 marca 1875 roku w Rdziostowie jako syn Stanisława i Eleonory Sikorskiej. Ukończył ośmioklasową szkołę ludową w Nowym Sączu oraz kursy administracji gminnej. Początkowo pracował jako kowal w warsztatach kolejowych w Nowym Sączu, potem był sekretarzem gminy w Trzetrzewinie, a od 1905 roku objął gospodarstwo rolne w Chełmcu. Był organizatorem kółek rolniczych, kas

Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. J. Szujskiego w Nowym Sączu
Region

oszczędnościowo–pożyczkowych i bibliotek na terenie powiatu sądeckiego, a także członkiem rady gminnej, sejmiku powiatowego, wiceprezesem rady nadzorczej Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń „Wisła". Początkowo działał w Związku Stronnictwa Chłopskiego. Od 1908 roku w PSL, a następnie od 1914 do 1918 roku w PSL–Lewicy. W 1919 roku przeszedł do PSL „Piast", wchodząc do jego władz centralnych. W latach 1923–1930 był wiceprezesem Zarządu Głównego. Był posłem na Sejm Ustawodawczy (1919–1922) w okręgu wyborczym nr 40, na Sejm I kadencji (1922–1927) i II kadencji (1928–1930) z listy PSL „Piast" w okręgu nr 44, a także na Sejm III kadencji (1930–1935) w tym samym okręgu, ale z listy Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. Związane to było z jego wystąpieniem z PSL „Piast", a przyłączeniem się do BBWR. Po zakończeniu się ostatniej kadencji wycofał się z działalności politycznej. Zmarł 23 listopada 1943 roku w Chełmcu i pochowany został na cmentarzu przy kościółku pw. św. Heleny. Ożenił się z Zofią Szkaradek i miał syna Józefa (rolnika w Chełmcu) i córkę Eleonorę Zielińską. Miał też dwóch braci: Błażeja i Ignacego.

Tomasz Sandecki — urodził się 10 marca 1890 roku w Falkowej (na wschodnim przedmieściu Nowego Sącza) jako syn Michała Niedźwiedzia i Katarzyny Nowińskiej. W latach 1902–1906 uczęszczał do ck I Gimnazjum w Nowym Sączu, a następnie do gimnazjum w Tarnowie, gdzie w 1910 roku zdał maturę. Seminarium Duchowne ukończył tamże. W tym czasie zmienił nazwisko z Niedźwiedź na Sandecki. Po otrzymaniu święceń w 1914 roku, był wikarym w Grybowie do lipca 1917 roku, a następnie pełnił funkcję proboszcza w Smęgorzowie (powiat Dąbrowa Tarnowska) do stycznia 1927 roku. W latach 1927–1971 był proboszczem Parafii Rzymsko–Katolickiej pw. św. Mikołaja Biskupa w Chełmie koło Bochni. W tym okresie zasiadał w radach gminnej i powiatowej oraz wydziale powiatowym w Bochni. Przewodniczył spółdzielni rolniczo–handlowej, miejscowej Kasie Stefczyka i spółdzielni mleczarskiej. Przyczynił się do zbudowania na terenie parafii cegielni oraz młyna, a także doprowadzenia wody do poszczególnych gospodarstw. Był pionierem techniki i nauczycielem uprawy roślin. Dokonał odkrycia złóż gazu ziemnego w pobliskim Siedlcu i przewodniczył tamtejszemu komitetowi elektryfikacyjnemu. Prowadząc równocześnie intensywną pracę duszpasterską, pozostawił po sobie liczne pa-

miątki kultu religijnego (m.in. figurę Serca Jezusowego przy kościele i krzyż na Grodzisku). W 1935 roku otrzymał dyplom dziękczynny od Prezydium Ogólnopolskiego Komitetu Pomocy Ofiarom Powodzi. Był posłem na Sejm V kadencji (1938–1939) z ramienia Obozu Zjednoczenia Narodowego w okręgu wyborczym nr 83 (Bochnia, Brzesko, Limanowa). Zmarł 17 marca 1971 roku w Chełmie i pochowany został na miejscowym cmentarzu. Był odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi (1937 r.).

Adam Stadnicki — urodził się 10 kwietnia 1882 roku we Lwowie jako syn Edwarda i Heleny Sapiehy. Pochodził z arystokratycznej rodziny. Egzaminy maturalne złożył w Gimnazjum oo. Jezuitów w Chyrowie. Studiował w Hochbodeschule w Monachium. Ukończył też Wydział Rolniczy Uniwersytetu Jagiellońskiego, a następnie gospodarował w rodzinnym majątku w Nawojowej. Sprawował wiele funkcji w organizacjach ziemiańskich oraz w rolniczo–gospodarczych. Działał także w samorządzie gminnym i powiatowym. Był posłem na Sejm II kadencji (1928–1930) z listy BBWR w okręgu wyborczym nr 44. W czasie okupacji niemieckiej wspierał działalność konspiracyjną ZWZ–AK na terenie Sądecczyzny, oddając jej wielkie usługi. Po wkroczeniu w styczniu 1945 roku na Sądecczyznę wojsk radzieckich, zmuszony został do opuszczenia swego majątku. Zmarł 10 marca 1982 roku w Ossoli koło Wrocławia. Ożenił się ze Stefanią Korybut Woroniecką, z którą miał ośmioro dzieci. Pięć córek: Marię Świeżawską, Jadwigę Czartoryską, Helenę Mańkowską, Annę Gostkowską i Stefanię Jasieńską oraz trzech synów: Józefa, żołnierza ZWZ–AK ps. „Madej", Andrzeja, również żołnierza ZWZ–AK i Pawła.

Józef Steinhof — urodził się 19 marca 1892 roku w Wojnarowej (kilkanaście kilometrów na północny–wschód od Nowego Sącza) jako syn Stanisława i Marii Tomaszewskiej. Ukończył Seminarium Nauczycielskie w Krośnie, ale utrzymywał się z gospodarstwa rolnego w rodzinnej miejscowości. Od 1919 roku należał do PSL „Piast", a następnie do SL. W latach 1931–1939 pełnił funkcję prezesa Zarządu Powiatowego SL w Grybowie, a od 1935 roku wchodził w skład Zarządu Okręgu w Krakowie i jego Rady Naczelnej. W styczniu 1934 roku został dokooptowany do Sejmu III kadencji i był posłem do czerwca 1935 roku. Po strajku chłopskim w 1937 roku otrzymał wyrok trzech miesięcy aresztu z zawieszeniem na trzy lata. Podczas okupacji niemiec-

kiej działał w konspiracji i w lipcu 1942 roku został aresztowany przez gestapo. W grudniu 1942 roku przewieziono go do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Otrzymał numer obozowy 79606. Tam też został zamordowany 20 maja 1943 roku. Ożenił się z Marią Krzysztoń.

Mieczysław Wyszyński — urodził się 13 stycznia 1884 roku w Nowym Sączu. Szkołę średnią ukończył w Krakowie, a następnie w 1910 roku Akademię Górniczą w Pribram (Czechy). Podczas I wojny światowej służył w armii austro–węgierskiej w stopniu podporucznika. W 1914 roku został ciężko ranny i jako inwalida wojenny pełnił po wyzdrowieniu funkcję członka Komendy Dworca w Krakowie. W latach 1919–1922 był kierownikiem kopalni nafty Towarzystwa „Tepege" koło Ustrzyk, a następnie kopalni w Potoku koło Krosna. W latach 1927–1939 był naczelnym kierownikiem kopalni koncernu naftowego „Małopolska" w Borysławiu. Działał także społecznie, będąc m.in. prezesem Związku Techników w Krośnie, a także działaczem Związku Strzeleckiego, Polskiego Towarzystwa Gimnazjalnego, Fundacji Gminy Chrześcijańskiej i ZHP. Był posłem V kadencji (1938–1939) z listy Obozu Zjednoczenia Narodowego w okręgu wyborczym nr 75 (powiaty Drohobycz i Rudki). Po zakończeniu II wojny światowej pracował od 1945 roku w Wyższym Urzędzie Górniczym w Krakowie. Zmarł w tym mieście 2 maja 1950 roku.

* * *

Pośród posłów na Sejm RP w omawianym okresie było też kilku, których nie zdecydowałem się włączyć do powyższego zestawienia, choć z Sądecczyzną byli związani. Nie kandydowali jednak z nowosądeckiego okręgu. Warto jednak o nich wspomnieć z racji takich czy innych sądeckich epizodów w ich życiu.

Kazimierz Duch (1890–1954) urodzony w Grębowie (powiat Tarnobrzeg), absolwent ck II Gimnazjum w Nowym Sączu z 1910 roku, oficer 1. pułku strzelców podhalańskich, a w latach 1926–27 starosta sądecki. Był posłem na Sejm III kadencji w okręgu wyborczym nr 46 (Jasło) i IV kadencji z tego samego okręgu, a później senatorem RP. Obszerny biorgaf znajduje się w *„Almanachu Sądeckim"* nr II/1995.

Jan Haluch–Brzozowski (1883–1941) urodzony w Stanisławowie, absolwent Politechniki Lwowskiej, a od 1911 do 1914 roku kierownik parowozowni warsztatów kolejowych w Nowym Sączu. Po zakończeniu I wojny światowej i wojny z lat 1918–1920 powrócił na poprzednie stano-

wisko i pracował w Nowym Sączu do 1921 roku. Był posłem na Sejm III kadencji w okręgu wyborczym nr 50 (Lwów).

Rudolf Burda (1877–1962) urodzony w Krakowie, legionista i peowiak, major WP. Był posłem na Sejm II i III kadencji w okręgach wyborczych nr 49 (Sambor) i nr 47 (Rzeszów). W 1937 r. zamieszkał w Nowym Sączu, gdzie był dyrektorem Ubezpieczalni Społecznej. Pochowany jest na Cmentarzu Komunalnym w Nowym Sączu przy ul. Rejtana.

Aleksander Jasiński (1897–1971) urodzony w Stróżach (powiat Grybów), absolwent kursu podoficerskiego Polskich Drużyn Strzeleckich w Nowym Sączu, żołnierz I Brygady Legionów Polskich, inwalida wojenny. Był posłem na Sejm IV kadencji w okręgu wyborczym nr 81 (Kraków).

Karol Kautzki (1881–1940) urodzony w Nowym Zagórzu (powiat Sanok), absolwent ck I Gimnazjum w Nowym Sączu z 1902 roku. Był posłem II. kadencji w okręgu wyborczym nr 45 (Tarnów).

Piotr Potaczek (1893–1952) urodzony w Podobinie (powiat Limanowa), podczas I wojny światowej żołnierz 20. galicyjskiego pułku piechoty na froncie włoskim, w latach trzydziestych wójt Gminy Podobin i Niedźwiedź. Był posłem V kadencji w okręgu wyborczym nr 83 (Bochnia).

Stanisław Stroński (1882–1955) urodzony w Nisku (?), absolwent ck I Gimnazjum w Nowym Sączu z 1900 roku, filolog romanista, profesor KUL, wybitny działacz narodowy, wicepremier i minister informacji w rządzie gen. Wł. Sikorskiego (1939–1943). Był posłem I, II i III kadencji w okręgu wyborczym nr 1 (Warszawa).

Wybór: Bolesław Łazarz

DAWNE WIDOKI NOWEGO SĄCZA cz. II

Kontynuując prezentacje dawnych widoków naszego miasta, przedstawiamy w niniejszym numerze fotografie charakterystycznych obiektów i miejsc z okresu międzywojennego.

Kiosk przy ul. Lwowskiej. Ok. 1935 r.

Defilada na św. Floriana. Rok 1932

Rynek — targ. Ok. 1936 r.

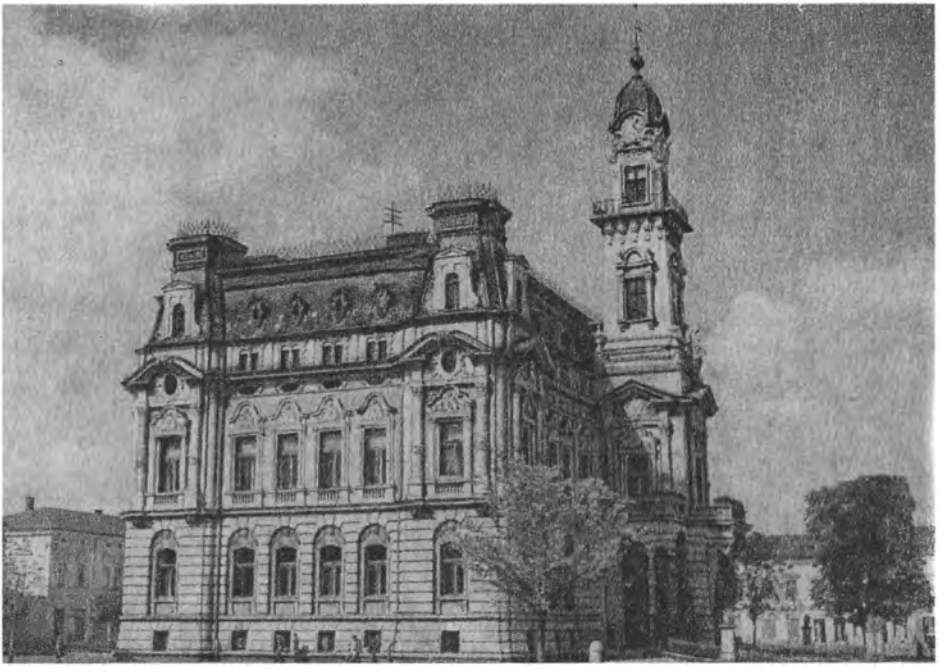

Nowy Sącz — Ratusz

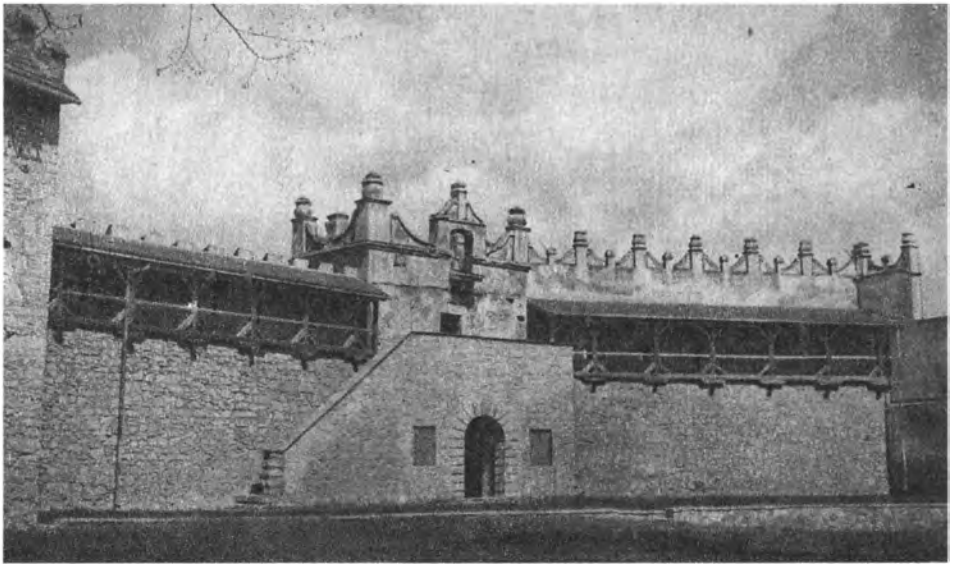

Nowy Sącz — Dziedziniec Zamku Jagiellonów

Nowy Sącz — ul. Jagiellońska. Ok. 1925 r.

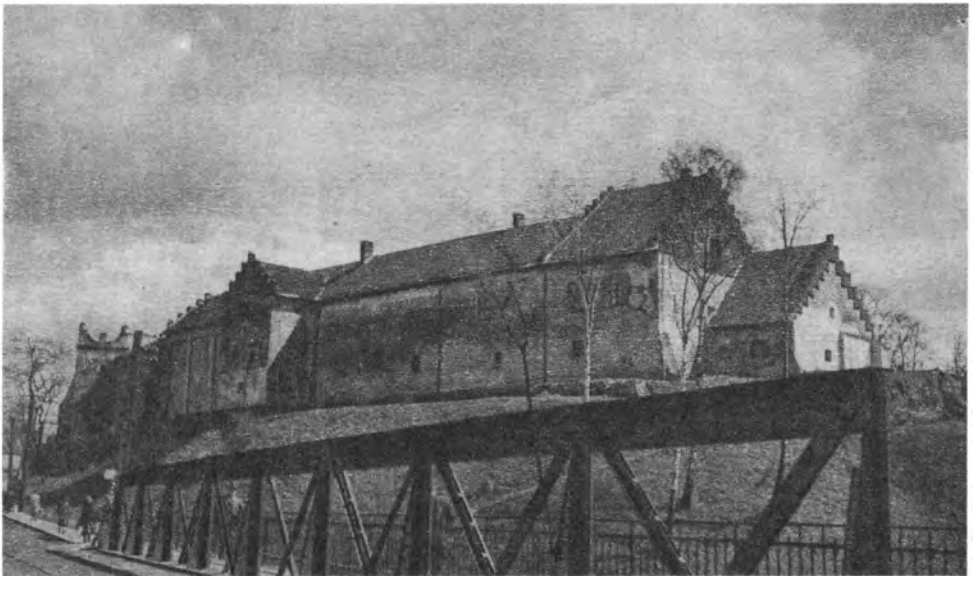

Nowy Sącz — Zamek Jagiellonów (widok od Dunajca)

Kościół św. Małgorzaty
w Nowym Sączu
w latach trzydziestych

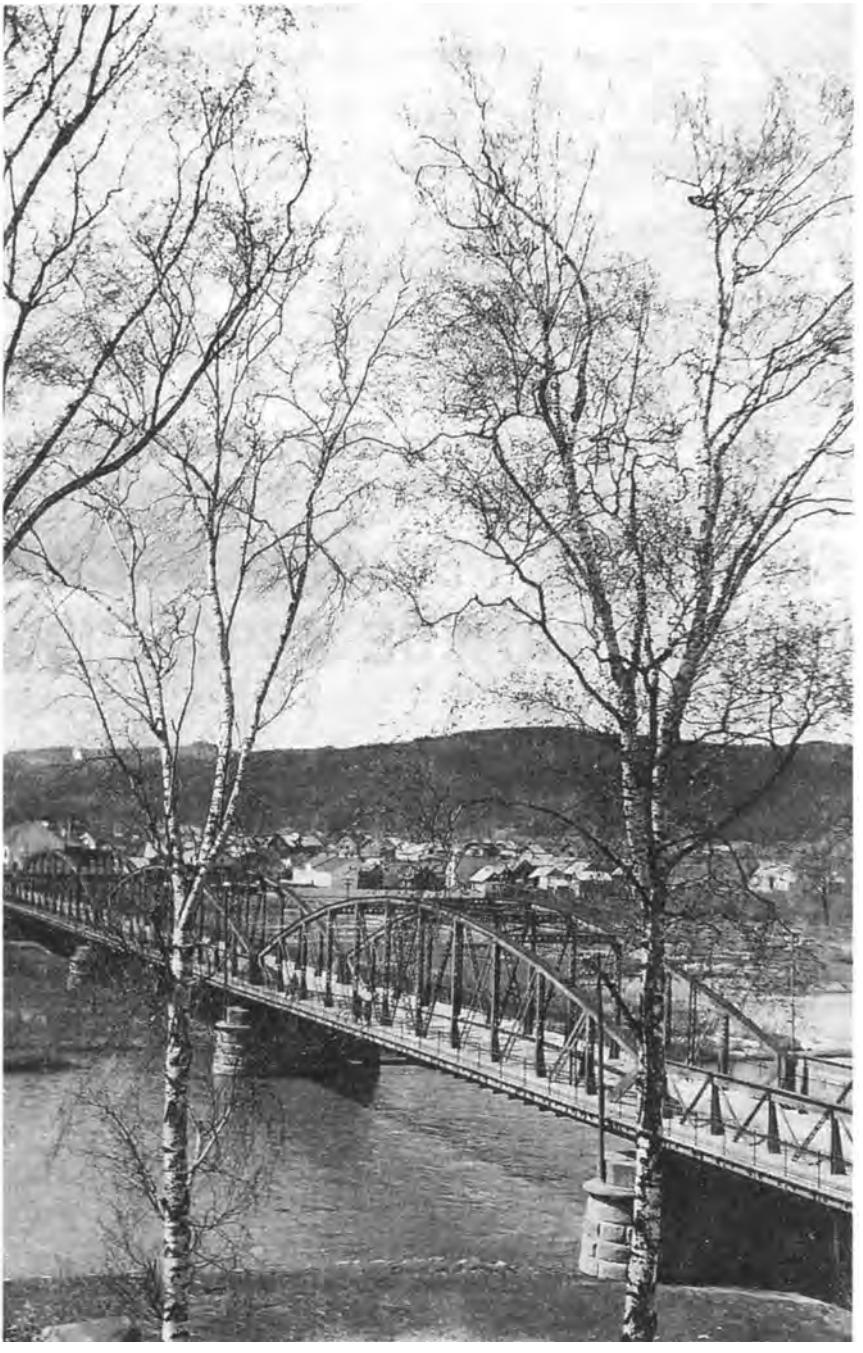

Most Heleński. Widok z tarasu Zamku Jagiellonów. Karta pocztowa z 1942 r.

Bogdan Potoniec

ZAKŁAD WODNY MARCINA KACZA W NAWOJÓWCE 1896–1996

Wstęp

Na południowo–wschodnich krańcach miasta Nowego Sącza, na terenie Nawojówki (dawnego przysiółka Zawady), na lewym brzegu rzeki Kamienicy zachowały się do dnia dzisiejszego budynki dwóch dawnych młynów wodnych. Pierwszy młyn zwany dolnym znajduje się przy ul. Wyczółkowskiego 6, obecnie właścicielem jego jest Zakład Produkcji Leśnej „Las" w Nowym Sączu. Drugi, górny, zlokalizowany jest przy ul. Dąbrowskiej 29. Młyn nadal znajduje się w rękach prywatnych, właścicielami są spadkobiercy **Marcina Kacza**.

Zawada w 1975 roku włączona została w granice administracyjne miasta Nowego Sącza. W jej skład oprócz wspomnianej już Nawojówki wchodziły jeszcze Brzeziny. Nazwa miejscowa „Brzeziny" pojawiła się w dokumentach dość późno, bo dopiero w połowie XIX wieku. Na współczesnym planie Nowego Sącza istnienie tego przysiółka upamiętnia nazwa osiedla i nazwa ulicy.

Nawojówka jest dużo starsza, jej początki sięgają końca XIV wieku. Początkowo była ona samodzielną wsią, w XIX w. została przysiółkiem Zawady. Próżno jej szukać na współczesnych mapach. Nawet na planie miasta Nowego Sącza nie zamieszczono nazwy osiedla, która wspominałaby o tej wsi. Oficjalnie nazwa Nawojówka nie istnieje, ale zachowała się do dzisiaj w pamięci średniego i starszego pokolenia mieszkańców Zawady. Nawojówka rozciągała się pomiędzy Zawadą, a Nawojową, po obydwóch stronach Starej Drogi, obecnie ul. Bolesława Prusa. Centrum znajdowało się w okolicach dzisiejszego sklepu spożywczego, skrzyżowania ul. Prusa z ul. Dąbrowskiej.

Z końca ubiegłego wieku zachował się opis przysiółka:

„Nawojówka przysiółek do Zawady pow. nowosądecki, leży w dolinie nowosądeckiej przy gościńcu z Nowego Sącza do Tylicza, na lewym brzegu Kamienicy i składa się z folwarku (23 mieszkańców rzymsko–katolickich) i kilkunastu chat zaliczanych do Nawojowej. Gleba piaskowo–iłowa, piaskowce miękkie z obfitym wapieniem, tworzą nad Kamienicą olbrzymie bryły, dodając okolicy malowniczości. Istniała tu osada już w XV wieku, bo w dyplomie z roku 1459 nadał biskup krakowski dziesięcinę wytyczną w tej części wsi wikarym nowosądeckiej kolegiaty. Graniczy od południa z Nawojową, od zachodu z Porębą Małą, od północy z Zawadą, wschodnią granicę stanowi rzeka Kamienica. Na północnym i południowym końcu przysiółka stoją dwie karczmy."

Dawne dzieje wsi i wzmianki o młynach.

Zasłużony badacz dziejów Sądecczyzny, Henryk Stamirski, datuje początki wsi na koniec XIV wieku. Nawojówka występuje w dokumentach wspólnie z Zawadą i należała do szlachty **Omelto – Zawadzkich** herbu Stary Koń. Najdawniejsza informacja o wsi i równocześnie o młynie pochodzi z roku 1427, w którym to **Andrzej**, młynarz z Rożembaroku nad Popradem sprzedał młyn „Nawoyowka" nad Kamienicą. W roku 1459 biskup krakowski **Tomasz Strzempiński** nadał wikariuszom kolegiaty sądeckiej dziesięciny z łanów kmiecych w Zawadzie i Nawojówce. Za czasów Jana Długosza dziedzicami Nawojówki i Zawady byli **Piotr** i **Mikołaj Zawadzcy** z rodu Starych Koni, a obydwie wsie należały do parafii nowosądeckiej. Nawojówka obejmowała większy obszar niż Zawada, było w niej aż 12 łanów, a w Zawadzie mniej, bo 9 łanów kmiecych. Podaje on również, że w Nawojówce była karczma oraz potwierdza, iż dziesięciny należały do wikariuszy kolegiaty sądeckiej. W swoim ogromnym dziele Długosz nie wspomniał nic o młynie. Ko-

Plan Zawady z zaznaczeniem lokalizacji młynów i Nawojówki

lejną wzmiankę o zakładzie wodnym podają *Księgi ziemskie czchowskie*, gdzie odnotowano, że w roku 1496 **Elżbieta** żona szlachetnego **Jędrzeja Szwabowskiego**, córka **Piotra z Zawady Zawadzkiego**, połowę wsi Nawojówka i część młyna tamże zastawiła za 100 florenów węgierskich szlachetnemu **Adamowi Bylinie z Leszczyn**, podstarościemu sądeckiemu.

Początkiem następnego wieku, obszar użytkowanego areału w obydwu wsiach uległ zmniejszeniu do 4,5 łana, a w Nawojówce w dalszym ciągu była karczma i pracował młyn dziedziczny o dwóch kołach. Młynarzem w Nawojówce w roku 1598 był **Jan Ochwat**. Źródła z XVII i początku XVIII wieku podają, że Zawada i Nawojówka płaciły czynsz z 6 łanów, od 6 zagrodników z rolami, 6 komorników bez bydła i 1 koła dorocznego. Przez zapis „jedno koło doroczne" należy rozumieć młyn napędzany jednym kołem wodnym, wydzierżawiany na okres jednego roku. Młynarzem w Nawojówce w roku 1684 był **Jakub Olechna**, który dnia 15 lutego tegoż roku chrzcił córkę **Zuzannę** w kościele w Nawojowej. Zawada i Nawojówka należały do parafii nowosądeckiej, tak więc był to jeden z nielicznych przypadków, w którym chrzest odbywał się poza parafią, do której wieś należała.

Na mapie Miega wykonanej w latach 1770–80 zaznaczony jest w Nawojówce jeden młyn na lewym brzegu Kamienicy. Dla większego bezpieczeństwa nie był zbudowany bezpośrednio nad rzeką, ale w pewnej odległości od głównego nurtu. Wodę do niego doprowadzano specjalnie wykonanym kanałem — młynówką. Porównanie tej mapy z późniejszą bardzo dokładną mapą katastralną Zawady i Nawojówki z roku 1848, pozwala przypuszczać, że młyn ten znajdował się w rejonie obecnego budynku młyna przy ul. Dąbrowskiej 29, dawniej Nawojówka 33. Tak więc tradycje tego młyna sięgają co najmniej początków XV wieku. Na katastrze zapisano adnotację, że oprócz młyna był tu również tartak. W odróżnieniu od drugiego, jak źródła wskazują dużo późniejszego młyna, ten zakład wodny nazwano młynem górnym.

Na wspomnianym planie katastralnym z połowy XIX wieku zaznaczony jest na terenie Nawojówki drugi młyn, zwany dolnym. Znajduje się on kilkaset metrów poniżej górnego, przy drodze do Kamionki Wielkiej. Podobnie jak poprzedni zbudowany był na lewym brzegu rzeki Kamienicy, woda doprowadzana była do niego przekopą od głównego nurtu rzeki Kamienicy. Tak więc, jeżeli mapa Miega nie zawiera błędów, to dolny młyn w Nawojówce powstał pomiędzy 1770 a 1848 rokiem. Zachowany do dzisiaj budynek tego młyna zaczął budować w II poł. XIX wieku obywatel **Wolny** — Polak, który powrócił za Stanów Zjednoczonych. Po wybudowaniu obiektu zabrakło mu funduszy na wyposażenie i uruchomienie zakładu. W związku z tym zawarł porozumienie za spółką żydowską Klapholz i Spółka. Młyn został uruchomiony i pracował do II wojny światowej. Po wywiezieniu żydowskich właścicieli w 1942 roku do

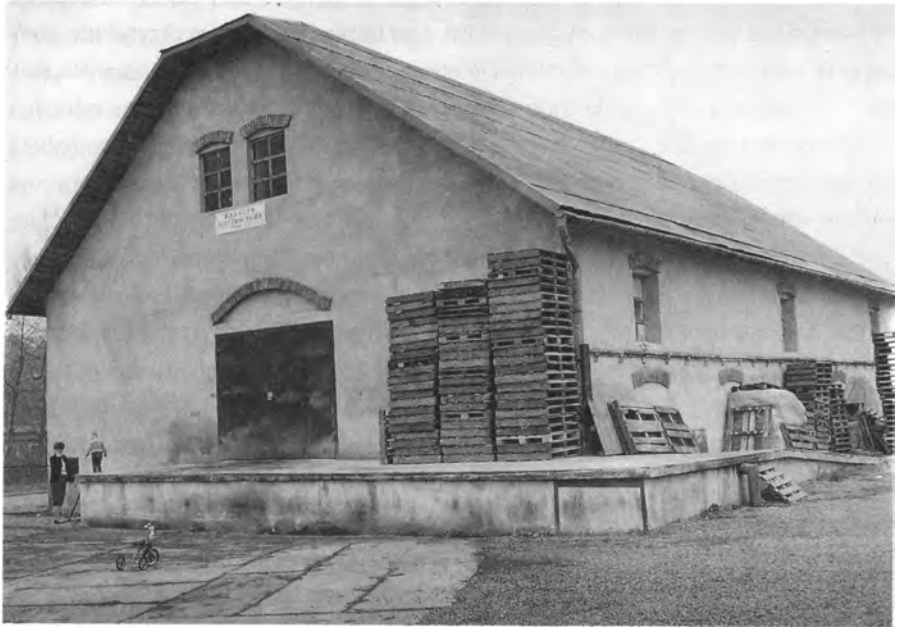

Budynek dawnego młyna dolnego, przy ul. Wyczółkowskiego 6, dawniej Nawojówka 56. Powyżej stan pierwotny, poniżej widok po przebudowie w latach 1989–1990

getta w Nowym Sączu, młyn prowadził volksdeutsch **Jędrzejowski**. W 1946 roku przejął go obywatel polski **Tadeusz Marczyk**. W 1948 roku wiatr zerwał pokrycie dachu i w takim stanie przejął go w dzierżawę **Franciszek Sosnowski**. Zmienił pokrycie dachu i uruchomił młyn. W latach 50. koło wodne zastąpił turbiną, a od strony wschodniej dobudował tartak, który napędzany był oddzielnym kołem wodnym. Tak zmodernizowany młyn pracował do końca 1958 roku, a tartak do początków lat 60. W 1965 roku budynki i 5 ha gruntu zakupiło Przedsiębiorstwo Produkcji Leśnej „Las" – Rejon w Nowym Sączu i uruchomiło tu zakład drzewny. Prawie stuletni budynek dawnego młyna służył jako magazyn. W latach 1989–1990, ze względów bezpieczeństwa, za zgodą konserwatora zabytków, budynek młyna został obniżony, zmieniono nachylenie i pokrycie dachu. Wyburzono wszystkie stropy i ściany działowe, część okien zewnętrznych zamurowano. Tak zniekształcony obiekt młyna w połowie roku 1993 wynajęto na hurtownię artykułów spożywczych i tę funkcję pełni do dzisiaj.

Na tej samej mapie katastralnej zaznaczony jest jeszcze jeden młyn, ale już poza rejonem Nawojówki. Znajdował się w Zawadzie, na lewym brzegu Kamienicy, na wschód od budynków dworskich **Józefa Czerskiego**, obecnie Domu Pomocy Społecznej w Zawadzie. Niestety, po tym zakładzie wodnym do dnia dzisiejszego nie zachowały się żadne ślady.

Kolejna mapa katastralna Zawady z roku 1904, również sporządzona łącznie z Brzezinami i Nawojówką, nie przynosi żadnych zmian w ilości i położeniu młynów. W Nawojówce zaznaczony jest górny młyn z tartakiem w centrum przysiółka, poniżej przy trakcie do Jamnicy i Kamionki Wielkiej, młyn dolny Spółki Mojżesza Klapholza, a w Zawadzie młyn na wschód od dworu. Jedyną zmianą jaką można odczytać z tej mapy jest sposób zasilania wodą młynów w Nawojówce. Zakłady nie posiadają już oddzielnych przekop od Kamienicy, ale jedną wspólną młynówkę, zachowaną w dużej części do dzisiaj.

Z relacji starszych mieszkańców Nawojówki wynika, że w okresie międzywojennym powyżej młyna górnego był jeszcze jeden niewielki drewniany młyn **Kaczwińskich**. Zasilany był własnym kanałem tzw. starą młynówką, która łączyła się z nową młynówką przed górnym młynem. Po tym młynie również nie dochowały się żadne ślady.

W II poł. XIX wieku właścicielem górnego młyna w Nawojówce był **Jakub Bodziony**. Jak wynika z akt Sądu Wojewódzkiego w Nowym Sączu, w latach 1862–1879, toczył się proces o wypłacenie **Annie Warchowej** zastawu 104 zł wraz z odsetkami po 6% od dnia 3 lutego 1878 roku przyznanego na realności nr 33, tudzież młyna, tracza i budynków w Nawojówce, właścicielem których był Jakub Bodziony.

Zakup młyna w Nawojówce przez Marcina Kacza

W roku 1887 pojawił się w Nawojówce Marcin Kacz — młynarz, który osiadł tutaj na stałe. Pochodził ze znanej rodziny młynarskiej, która posiadała młyn w okolicach Starego Sącza. Jak podaje rodzinna kronika protoplastą rodu był **Ignacy Kacz**. W roku 1779 przybył do Nowego Sącza jako żołnierz pruski po zawarciu pokoju w Cieszynie między Austrią a Prusami. Legenda rodzinna powiada, że przybył na białym koniu i pracował w jednym z młynów. Wkrótce porzucił mundur wojskowy, ożenił się, przeniósł się do Starego Sącza i zajął się młynarstwem. Zajęcie to było kontynuowane przez jego synów, wnuków i prawnuków. Jednym z jego prawnuków był właśnie Marcin Kacz.

Marcin dnia 2 kwietnia 1887 roku kupił od Jakuba i Justyny Bodzionych z Nawojówki za 2520 zł reńskich całą parcelę Lwh 15 i połowę Lwh 99. Na działkach tych znajdował się niewielki młyn i tracz oraz domek o dwóch izbach. Młyn był na kamienie młyńskie, a tartak na dwie piły. Dnia 16 czerwca 1888 roku dokupił jeszcze 1/4 działki Lwh 99 za 470 zł reńskich.

Marcin Kacz na miejscu małego przestarzałego zakładu wybudował nowoczesny o dużo większych możliwościach przemiałowych młyn tzw. „amerykankę". Plany nowego młyna opracował **Jan Mleczko** budowniczy młynów amerykańskich i tartaków. Jak wynika z zachowanego do dziś „Projektu urządzenia młyna walcowego w Nawojówce", budynek młyna był murowany, podpiwniczony, dwupiętrowy kryty dachem dwuspadowym. W piwnicy znajdowało się duże o średnicy ponad 3 metry, dwukrotne, nasiębierne koło młyńskie. Na parterze zamontowano dwie pary stalowych walców oraz dwa zestawy kamieni młyńskich. Na pierwszym piętrze urządzono magazyn mąki oraz mieszacz np. do wytwarzania mąki pszenno–żytniej. Drugie piętro zajmował tryjer, urządzenie do czyszczenia zboża ze sporyszu i kąkolu — zanieczyszczeń, które zaczerniały mąkę oraz tzw. odsiewacze graniaste — sita do mąki o kształ-

Mapa katastralna z 1904 roku — młyny w Nawojówce

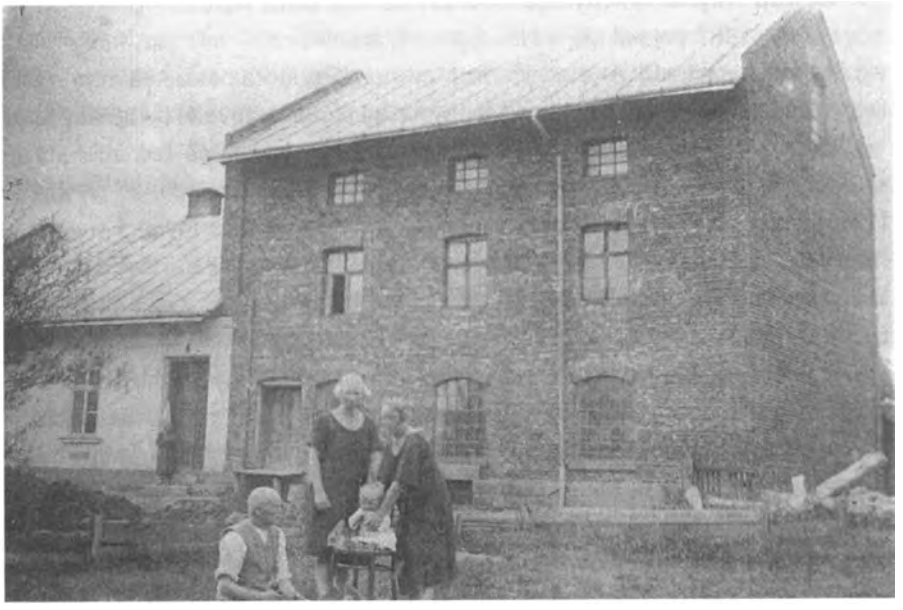

Młyn Marcina Kacza w Nawojówce. Powyżej z parterową częścią mieszkalną, fotografia wykonana przed rokiem 1929, poniżej widok współczesny, kwiecień 1994 r.

cie ośmiobocznym, długości 2,5–3 m z różnej wielkości siatkami.

Przy młynie został wybudowany też tartak, znajdował się w drewniano–murowanej wiacie od strony północnej, nad korytem młynówki. Ilość wody doprowadzana młynówką zezwalała na ruch albo młyna, albo tartaku. Dlatego też w dzień czynny był tartak, a mąkę mielono przeważnie w nocy.

Woda do młyna doprowadzana była młynówkami od rzeki Kamienicy. Bezpośrednio przed młynem łączyły się dwie młynówki — stara dłuższa biegnąca bardziej na zachód i nowa, krótsza. Do kierowania wody z Kamienicy do młynówki służył jaz zbudowany z otoczaków. Przed kołem wodnym była zamontowana krata, która zatrzymywała: w lecie — gałęzie, a w zimie — krę. Na koło nasiębierne woda doprowadzana była korytem zbudowanym z desek sosnowych, w którym zamontowane były dwie klapy do regulacji ilości wody.

Do obiektu młyna od strony zachodniej przylegał parterowy budynek mieszkalny. W 1929 roku właściciel zakładu powiększył część mieszkalną, nad którą wybudował piętro. Odpowiednie plany w kwietniu 1929 roku wykonał **Szczepan Sławiński**, architekt dyplomowany z Nowego Sącza. Przy młynie zbudowane były stajnie, w których hodowano parę koni do transportu zboża i mąki, m. in. ze stacji kolejowej w Nowym Sączu. Cały kompleks budynków przetrwał do dnia dzisiejszego, na fundamencie młyna zachowała się, wykuta w kamieniu, data zakończenia budowy — sierpień 1896 roku.

Przed I wojną światową Marcin Kacz zamontował w młynie turbinę wodną systemu Peltona. Ale niestety, napęd turbinowy, chociaż był wydajniejszy od tradycyjnego, w praktyce się jednak nie sprawdził. Rzeka Kamienica w czasie każdego wezbrania wody niosła duże ilości liści, gałęzi i śmieci, które zanieczyszczały i zatykały turbinę. Powodowało to częste przestoje zakładu i konieczność czyszczenia turbiny. Wkrótce Marcin wrócił do koła wodnego, które posiadało mniejszą sprawność techniczną, ale było bardziej niezawodne.

W okresie międzywojennym młyn posiadał 2 kamienie o średnicy 105 cm, jeden do otrąb, drugi do owsa. Dwie pary walców długości 55 cm o średnicy 22 cm i 30 cm. Obok kamieni i walców usytuowana była łuszczarka do jęczmienia. W piwnicach znajdowały się 2 holendry do produkcji pęcaku i siekanki z jęczmienia. Na drugim piętrze umieszczony był jeden tryjer do oczyszczania zboża. Dla uruchomienia całego młyna potrzebna była moc ok. 33 KM, jednak nie wszystkie urządzenia były naraz w ruchu, szacunkowe zapotrzebowanie siły określono na 24–30 KM. Z młynem połączony był tartak jednogatrowy o 13 piłach i 1 cyrkularka, wymagające siły również ok. 26 KM. Zakłady czynne były na przemian albo młyn, albo tartak.

Urządzenia młyńskie i tartaczne napędzało drewniane koło wodne nasiębierne,

dwukrotne o szerokości 2,4 m, posiadające 28 łopat na obwodzie. Koło posiadało średnicę 3,30 m, spadek na kole wynosił ok. 3,7 m, a ilość wody niezbędna do jego poruszenia ok. 1 m^3/s. Wodę do młyna prowadziła młynówka, kanałem ziemnym o szerokości 1,8 m, a głębokości 60 cm. Ponieważ Kamienica jest rzeką kapryśną o ogromnej niszczycielskiej sile, przy ujęciu wody do młynówki nie wybudowano stałego jazu, a prowizoryczny z otoczaków. Takie rozwiązanie umożliwiało niskim kosztem, szybką odbudowę jazu.

Proces mielenia zboża w młynie przebiegał w sposób następujący. Zboże przywożono furmankami do drzwi na poziomie parteru, tam wysypywano je do skrzyń. Transport zboża na II piętro odbywał się metodą kubełkową, elewatorami. Elewator składał się z czworobocznej obudowy wewnątrz, w której poruszał się pas parciany z przymocowanymi metalowymi pojemnikami. Na II piętrze w tryjerze odbywał się proces mechanicznego oczyszczania zboża z zanieczyszczeń. Oczyszczone zboże zsypami dostawało się na I piętro, a stąd kierowano je na walce lub kamienie młyńskie znajdujące się na poziomie parteru. Mąka zsypywała się do piwnicy do skrzyń, z których była transportowana elewatorami na II piętro na odsiewacze graniaste. Tam uzyskiwano mąkę I gatunku tzw. nulkę, II gatunku oraz III gatunku — razówkę. Z II piętra mąka, albo bezpośrednio zsypami, albo poprzez mieszacz np. do wytwarzania mąki pszenno–żytniej, dostawała się na I piętro, gdzie odbywało się jej workowanie. Mieszacz posiadał kształt dużej beczki o średnicy ok. 2 metrów i pod niego do specjalnych uchwytów podkładało się worki. Worki z mąką z I piętra zsuwano po desce przez drzwi na parterze bezpośrednio na furmankę. Do produkcji pęcaku służyły dwa holendry w piwnicach.

Napęd wszystkich urządzeń młyńskich odbywał się z tzw. transmisji — wału transmisyjnego znajdującego się w piwnicach. Od wału napędowego prowadzone były pasy skórzane lub gumowe do: walców, kamieni, holendrów, sit, itd. Napęd tartaku również odbywał się z transmisji oddzielnym pasem. W ruch wprawiano trak firmy „Jablokau" z Jabłonkowa i cyrkularkę, później uruchamiano jeszcze oszczarkę do pił.

Marcin Kacz zmarł w 1938 roku w wieku 75 lat, pochowany został na cmentarzu parafialnym w Zawadzie. Jedyny jego syn zginął w czasie I wojny światowej, pozostały same córki. Najstarsza z nich **Kazimiera** objęła młyn po ojcu. Młyn przetrwał II wojnę bez większego uszczerbku. Po zakończeniu działań wojennych zakład pozostał nadal w rękach Kazimiery Kacz.

W 1947 roku wykonana została inwentaryzacja młyna i tartaku. Pomiarami i rysunkami zajął się **Józef Wojtyga** upoważniony budowniczy w Nowym Sączu, gotowe plany młyna przedstawił w połowie czerwca 1947 roku. Budynek młyna bez zmian,

Marcin Kacz przy traku, zdjęcie z okresu międzywojennego

wewnątrz od strony wschodniej, duże o mocy 24 KM i średnicy 3,3 m koło nasiębierne, drewniane dzielone na środku — tzw. dwukrotne. Z koła wodnego poprzez przekładnię zębatą z kół metalowych napędzana była transmisja — wał z wieloma kołami pasowymi. W piwnicy znajdowały się jeszcze 2 holendry oraz prądnica prądu stałego o napięciu 120 V. Na poziomie parteru umieszczone były w jednej linii walce i kamienie młyńskie. Jeszcze za życia Marcina Kacza — pomiędzy 1931 a 1938 rokiem — w młynie zamontowano nowe walce, o długości 120 cm i 100 cm. Jedna para była wyprodukowana w Gratzu w Austrii, druga w Budapeszcie na Węgrzech. Obok walców ustawione były dwie pary kamieni o średnicy 120 cm. Na tym poziomie znajdowała się również łuszczarka do jęczmienia. Pozostałe urządzenia młyna znajdujące się na I i II piętrze identyczne jak w opisie z 1931 roku, z tą różnicą, że do czyszczenia zboża używano dwóch tryjer. W tartaku pracował jednogatrowy trak, cyrkularka i ostrzarka.

Młyn czynny był do roku 1957/58, a tartak nieco dłużej do roku 1962/63. Według relacji potomka ostatnich właścicieli młyna, pana **Stanisława Burnagla** z Nowego Sącza, bezpośrednimi przyczynami zamknięcia zakładu były czynniki ekonomiczne, a nie interwencja władz państwowych. Przy spełnieniu dość surowych wymogów można było uzyskać dalszą koncesję na prowadzenie młyna, chociaż niekiedy trwało to dość długo. Również polityka podatkowa, stosowana w młynarstwie, nie była aż tak restrykcyjna jak w stosunku do innych rzemieślników. Młyny prywatne nie wytrzymały konkurencji z olbrzymimi, doskonale wyposażonymi młynami uspołecznionymi. Nie bez znaczenia były również zmiany w konsumpcji wśród mieszkańców wsi i małych miast. Powszechnie zaczął przyjmować się zwyczaj nabywania chleba z piekarń, powodując coraz większe ograniczenia wypieku domowego. Rolnikom bardziej opłacało się sprzedać zboże i kupić gotowy chleb, niż wozić zboże do młyna i przerabiać je na mąkę.

Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. J. Siuskiego w Nowym Sączu Region

Stanisława Widomska–Fiedor

WIERSZE

Pokochać

Pokochać wszystkich
i wszystko

Każde drzewo
i gałąź na drzewie
nawet mały drżący listek
i kogoś kto jest w potrzebie

a przede wszystkim
pokochać siebie

Życie

marzenie
sen

miłość

ciągłe poszukiwanie

Nadziei

niesienie
ciepła
radości
uśmiechu

wyczekiwanie
na
okruch dobroci

wspominanie

wyciąganie dłoni
po przebaczenie

lęk
przed bólem
cierpieniem

ofiarowanie
siebie?

*****

Mówią można
zapomnieć

rzucić za siebie
garść pocałunków

wymazać usta
zbędny dodatek

zwyczajnie zejść
schodami

w dół

Mówią można
zapomnieć

napchane skargą
zamknąć walizki

i odejść z liściem klonu

Dojrzewam

Dojrzewam
jak dojrzewa zboże

do Nadziei
by uwierzyć
w prawdę
której nie było

do Miłości
by mieć tyle nadziei
żeby rozpalić ogień

do Prawdy
choć wiatr zamyka usta
a słowa ranią
jak ostrze noża

do Wolności
by być zawsze sobą
gdy jest się tak blisko
ziarnka prawdy

do Wiary
by uwierzyć

bez słów
wyciszyć serce

Kobieta

Przepraszam
że nie mam twarzy
tylko maskę
zmieniam się
w zieloną gałązkę
o złotych płatkach

Tęsknię
do ostrego wiatru

Mrużę oczy
aż serce
w zawrotny wpada poślizg

Nie wiem
z rozpaczą czy z nadzieją
patrzę w przejrzystą twarz świata

Idę

Drogą prawdy
z otwartymi oczami
dziecka

głodnym miłości
niosę radość

W milczeniu
odnajduję
ludzi

drzewa
i kamienie
sercem
które przerosło
wielkość rzeczy

Do łzy

Łzo
ściekasz
z Tajemnicy Bolesnej
w obolałą Duszę
Chcesz spłynąć
A zastygasz
W kąciku ust
Wytrwale
Odejdź

Odkrycie

Właśnie wczoraj
odkryłam
że
świat
nie składa się
z ludzi

*****

na polanę
tysiące jałowców się rozbiegło
owocami paciorkami
różaniec szepczą

wznosi się modlitwa
ponad ich znak nadziei
ponad radość zamkniętych oczu

rozmnożono Słowo
ludziom nie na rękę
bo byli głodni i spragnieni

a życie jest ścieżką
która w wieczność tajemną odpływa

*****

mój Bóg
jest Bogiem
szeptu
więc
nie krzyczcie
do Niego
bo nie wysłucha
serc waszych

*****

Jeżeli o mnie zapomniałeś
Boże
Pozwól mi
Odejść polami
Miedzą
    Bez łez
    Bez serca
One zawodzą

W zakątku nieba

W maleńkim zakątku nieba
mają mieszkanie najbardziej skromni
którym wystarcza
śpiew ptaków
muśnięcie motyla

oni wolą
jeden obłok
i srebrzysty blask rosy o poranku

Wolni unoszeni wiatrem
Aniołowie
o oczach człowieczych

Wojciech Kudyba

Miejsce z widokiem na drogę

Na zdjęciu umieszczonym na okładce książki widać wyżłobione w ziemi ślady. Dwa — zarysowane szczególnie wyraźnie — biegną obok siebie, aż po jasną, odcinającą się od tła linię horyzontu. Być może nigdy się nie spotkają. Najnowszy tom wierszy **Marka Basiagi** nosi tytuł *Dwie drogi* (Baran i Suszczyński, Kraków 1996).

Tytułowa formuła skłania do oglądania poetyckiego świata tego zbioru w perspektywie podziału i antynomii. Istotnie: rzeczywistość wyłaniająca się z wierszy sądeckiego poety niejednokrotne uderza kontrastem kolorów, sytuacji, zachowań. Cisza i krzyk, miłość i samotność, zaufanie i lęk, złudzenie i prawda, „tak" i „nie" — wszystko to z równą siłą otacza tu krajobrazy i postacie, natarczywie domaga się wyboru, nakłada brzemię decyzji. *„Moja niepewność / była pierwszym znakiem mego istnienia"* — czytamy w wierszu *Niepewność* (s. 10). Bohater tej poezji wie, że ma przed sobą *„nie policzalną ilość"* dróg. Wie, że w każdej chwili *„może odejść w dowolną stronę świata"* (s. 17). Ale wie również, że przeznaczona jest mu tylko jedna droga. I że tylko taką drogą — najgłębiej własną — warto podążać.

Myślę więc, że wbrew sugestiom zawartym w tytule zbioru, nie sprzeczność świata, nie jego antynomie, lecz perspektywa ładu ponad sprzecznościami jest najważniejszym przedmiotem pisarskiej uwagi Marka Basiagi — organizuje jego wyobraźnię, uruchamia liryczny dyskurs Dwóch dróg. Poetyckie *„nie wiem"* jakie autor zbioru powtarza przy różnych okazjach skrywa w swej głębi chwile ulotnej, lecz przecież rzeczywistej wiary w sens, chwile ulotnej, lecz przecież rzeczywistej — pewności. Wiele wskazuje na to, że wątpliwości bohatera tej poezji nie mają nic wspólnego z intelektualno–emocjonalną bezradnością, stają się raczej rodzajem „chytrego planu", sposobem obrony tego co nieskłamane i cenne przed zarzutem naiwności lub …dogmatyzmu. Niepewność jest tu rodzajem maski skrywającej twarz kogoś doświadczonego i dzielnego — nieco zawstydzoną, lecz przecież sympatyczną, budzą-

cą zaufanie.

Wiem, że autor *Dwóch dróg* nie lubi mówić o dojrzałości (por. wiersz *Niepoetycko* na s. 26), sądzę jednak, że właśnie słowo „dojrzałość" najlepiej określa prezentowany w książce sposób widzenia rzeczywistości. Jeśli bohater tych wierszy zwraca uwagę, jeśli wydaje się poetycko przekonujący, to chyba właśnie ze względu na ów mądry spokój wobec niedoskonałości świata, właśnie ze względu na ową szczególną zgodę, za którą kryje się przeczucie dalekiej harmonii naszych spraw, postaw, doświadczeń.

O szczerości, o głębokości tego tonu najpełniej przekonują częste w *Dwóch drogach* motywy „sytuacji granicznej" — obrazy cierpienia i śmierci. Prawda: nie zawsze pozostają równie sugestywne, najlepsze utwory zbioru przemawiają właśnie siłą autentycznego przeżycia trudnej zgody na niepełność, niedoskonałość, chorobę — jak choćby wiersz [*Wciąż dziwisz się*], którego fragment warto tu, jak sądzę, przywołać:

Wciąż dziwisz się
Gdy dotykasz żółtawych słońc Cordafenu
Białych księżyców Belocu
I drogi mlecznej innych lekarstw
Ich nazw nie pamiętasz
Podnosisz je trzy razy dziennie do ust
Nabożnie jak hostię
I myślisz
Że pomogą ci przetrwać choć jeden dzień
Bez łomoczącego potu serca
Uważnie śledzisz urografie
Raporty z działań krwi i moczu
Ślepe zaułki medycyny współczesnej
Przecież czemuś musiałeś zaufać

Obracasz się niespokojnie na trwożliwej pościeli
I bez buntu
Bez krzyku i narzekania
Przyjmujesz swoje ciało patologiczny odwłok
Jak pogodę ducha […]

Zgoda na ból, chorobę, śmierć nie jest w tym pustym, papierowym gestem. Marek Basiaga wie, że ciało jest *„pytaniem nie retorycznym"* (s. 10). Mimo to, odnajduje jednak w sobie dość siły, by mówić o jego dolegliwościach z pewną pogo-

dą, a nawet — szczyptą autoironii.

Skąd bierze się ów szczególny uśmiech poety? Myślę, że z przekonania, iż linia naszego losu — taka jaka jest: splątana i kręta — pozostaje mimo wszystko sprawiedliwa. Sprawiedliwa — to znaczy obdarzona pewną wyższą sankcją, wpisana w pewien wyższy układ, którego istnienie wydaje się niekiedy wątpliwe, czasem jednak odsłania się ze zdumiewającą siłą. *„Panie Boże / Zgrzeszyłem przeciwko wszystkiemu / Czego zakazałeś / Ale jestem tylko człowiekiem / I musiałem być sobą"* — modli się bohater wiersza [*To był tylko duszący sen…*]. A my, czytelnicy, odnajdujemy w jego słowach nie tyle egocentryzm, ile raczej roztropne rozeznanie własnych ograniczeń i przeczucie, że nie są one zupełnie bezcelowe. Przyznaję: szczególnie cenię w tej poezji właśnie zmysł sensu — to, że jej strofy stale wychylają się w stronę ładu. To, że jest ona miejscem z widokiem na drogę.

Wojciech Kudyba

Bolesne przebudzenie. O wierszach Tadeusza Basiagi

Przywilejem uważnego czytelnika literatury bywają niekiedy nieoczekiwane podróże w czasie. Wchodząc w przestrzeń wierszy pisanych choćby przed kilkoma laty chcąc nie chcąc zanurza się w atmosferze lat, w których powstały, cofa w czasie, smakuje koloryt minionych spraw i doświadczeń. Lektura *Przebudzenia* — skupiona, intensywna (jak na lekturę poezji przystało!) — jest okazją do podobnej podróży, wyprawą w głąb czasu. Debiutancki tomik **Tadeusza Basiagi**, złożony do druku z początkiem lat 80., po wielu perypetiach wydawniczych (autor podpisał już nawet umowę z wydawnictwem „Iskry"), ukazał się właśnie jako czwarta pozycja *Biblioteczki „Almanachu Sądeckiego"* (mieszczącej dotąd m. in. poezje **Marka Basiagi** i **Władysławy Lubasiowej**) i jako pierwsza publikacja firmowana znakiem Klubu Literackiego „Sądecczyzna".

A oto pierwsza podróż. Jest letni dzień 1972 r. Tadeusz Basiaga niebawem skończy dwanaście lat. Jak starszy brat, Marek, żyje w świecie lektur, czyta dużo, z dziecięcą intensywnością, ekstatycznie. Tego dnia pisze swój pierwszy wiersz; zamieszczony później w tomie *Przebudzenie*:

wóz bez woźnicy
przejedzie ciszę
wioząc piękne postacie
echem błyśnie

gęstością modlitwy

jęk

odejdą
gdzie
nie wiem

i jak wszystko
nigdy nie wrócą

Niektóre sformułowania tego tekstu przez swą dziecięcą stylistykę (myślę zwłaszcza o wyrażeniu — *„wiozące piękne postacie")* odsłaniają rzeczywisty wiek autora. Inne, stylistyczne wyszukane — jak choćby metafora wozu, który *„przejeżdża ciszę"* — zaskakują językową dojrzałością, sprawnością poetyckiego warsztatu daleką od przeciętnych umiejętności dwunastolatka. Wiersz *Przeznaczenie*, bo o nim tu mowa jest wierszem cudownego dziecka — nieprzeciętnie wrażliwego, poetycko utalentowanego — zapowiada przyszłe, pisane podczas studiów, wyróżniające się językowym konceptem i wyrafinowaną wyobraźnią utwory autora *Przebudzenia*.

II

Pora zatem na drugą podróż. Dobiega właśnie pierwsza połowa mrocznych lat 80. Tadeusz Basiaga jest studentem polonistyki UJ, podobnie jak koledzy — **Marcin Baran**, **Krzysztof Koehler** — marzy o poetyckim debiucie, intensywnie pracuje nad swymi tekstami (poemat *Różaniec* szlifuje prawie rok!), wreszcie proponuje wydawnictwu „Iskry" książkę *Przebudzenie* i — zachęcony przychylnymi recenzjami **Zbigniewa Jerzyny** i **Juliana Kornhausera** — z niecierpliwością czeka na druk. Jak brzmiały owe pierwsze krytycznoliterackie głosy o *Przebudzeniu*? Julian Kornhauser pisał:

> *„Bardzo ładna książka. Czytałem ją z rosnącą ciekawością. Tadeusz Basiaga to autor już bardzo dojrzały: opanował warsztat poetycki w stopniu budzącym zaufanie. Wiersze są wypracowane, oparte na koncepcie (bardzo często językowym — widać tu szkołę Szymborskiej), polegającym na odwracaniu znaczenia. Jako debiutant Basiaga zadziwia umiejętnością konstruowania wiersza (powściągliwość, gradacja napięcia, pointa), a także unikaniem nachalnej „tematyczności" i ckliwych wynurzeń. Poetyka Basiagi mieści się między nadrealną materią słowną, a realną sytuacją ludzką, dlatego też sens poe-*

tycki nie narzuca się wprost, od razu. To połączenie daje niezły efekt i pobudza wyobraźnię czytelnika. Głównym wyjątkiem poetyckiej refleksji Basiagi jest konflikt człowieka z czasem".

W podobny sposób polecał wydawnictwu *Przebudzenie* Zbigniew Jerzyna:

„Jest to czysta, oszczędna i mądra liryka przypominająca wczesne wiersze Tymoteusza Karpowicza. Bardzo często oparta na koncepcie, posługująca się aluzją kulturową, albo historyczną. Bez wątpienia jest to poezja o dużej urodzie i myśląca. (…) Basiaga bywa też ironiczny i wyrafinowanie dowcipny np. w wierszach „Kobieta" i „Nikt". (…)".

A jednak *Przebudzenie* nie ukazało się w wyznaczonym czasie. Wydawnictwo borykało się z rosnącymi kłopotami finansowymi, wreszcie sprywatyzowało się. Autor zniechęcony nie miał sił, ani ochoty walczyć o wydanie książki, przepychać do pierwszych rzędów *„Brulionu"* debiutanckiego wówczas pokolenia tego pisma. Dziś czyta się tę książkę jako interesujące świadectwo epoki, która minęła pod koniec lat 80. Przebudzenie było jednak czymś innym — poetyckim zwierciadłem naszych codziennych doświadczeń, ulotnych przeżyć, które tylko poeta potrafi wyrazić z należytą ekspresją. Wyraźnie też współbrzmiało z ówczesnymi dokonaniami poetyckimi — zwłaszcza z tzw. nurtem poezji lingwistycznej — rozwijanym i przekształconym w latach 70. i 80. przez poetów Nowej Fali. Wiersze Basiagi mogły liczyć wówczas na zainteresowanie krytyków i poetów, mogły też zapewnić ich autorowi osobne miejsce na mapie literackiej Krakowa. Rozmaite okoliczności sprawiły, że stało się inaczej …

III

I wreszcie podróż trzecia — nie tyle w głąb biografii autora (z którą przecież pisane przezeń wiersze wchodzą w ukryte i subtelne związki), ile w głąb samych utworów — podróż w trakcie, której udaje się czasem rozpoznać poetycki krajobraz zbiorku, rodzaj wrażliwości ich autora, jego poetycką wizję świata. Powiem od razu: w przypadku *Przebudzenia* jest to wyprawa niełatwa, wymagająca specjalnego ekwipunku — sporej erudycji i językowej wrażliwości — wiersze Tadeusza Basiagi utkane są z gęstej materii poetyckiej, stawiają opór, wymagają mozolnego nieraz rozszyfrowania:

ten wiek
pociąga moją odpowiedzialność
do sumienia

(Mój wiek s. 22)

przeliczyłeś strach
wiersza
sztormy
zera absolutnego
(...)
czy przeliczyłeś się

(Dylan Thomas s. 17)

Oto niektóre tylko przykłady semantycznych gier Basiagi, próbki jego lingwistycznych kompetencji i umiejętności budowania wiersza w oparciu o językowe skojarzenia. Właśnie owe skojarzenia pozwalają sprytnie „rozegrać" w utworze dwuznaczność czasownika *„przeliczyć* (się)", czy też odwrócić zwrot *„pociągnąć do odpowiedzialności"* i mówić o *„pociąganiu odpowiedzialności"*. Jeśli istnieją czytelnicy poezji niewrażliwi na gry językowe, źle znoszący aluzje brzmieniowe, paronomazje, kalambury, to trzeba zapewne odradzić im lekturę *Przebudzenia*. Omawiany zbiór wyda im się zbyt wyrafinowany, za trudny.

Najciekawszym świadectwem panowania nad słowem, świadectwem opanowania poetyckiego warsztatu w stopniu co najmniej dobrym wydaje mi się poemat *Różaniec*. Zmierzył się tu autor z formą szczególnie trudną — obszerną, wymagającą wyjątkowej dyscypliny twórczej. Kompozycyjną ramę różańcowych tajemnic postanowił wypełnić Basiaga własną materią słowną, na kanwie poszczególnych tajemnic różańcowych utkał swoisty poemat liturgiczny, modlitwę — jakże często dziś lekceważoną, odmawianą nałogowo, bezmyślnie — podniósł do rangi najczystszej poezji, poezji oszczędnej w słowa, lecz mimo to pełnej ekspresji. Rytm poematu wyznaczają cztery motywy — z litanijną monotonią powtarzają się tu zwroty do Ojca, Matki, informacje o sobie i o symbolicznym *„piasku wybrzeża"*, w którym dociekliwy czytelnik rozpozna może subtelną aluzję do wydarzeń na Wybrzeżu w 1980 r. Zamiast pełnych zdań pojawiają się tu jedynie urywane, emocjonalne wykrzyknienia, westchnienia, prośby. Wydaje się, że właśnie rwany, emocjonalny, pospieszny tok frazy uderza w wierszu najbardziej. On właśnie przemawia najsilniej, zabarwia poemat jednolitą tonacją żarliwości i troski o sprawy najistotniejsze, zasadnicze. *Różaniec* to poemat o rodzinie, ojczyźnie, własnym wnętrzu. O życiu i śmierci, miłości i cierpieniu — w poetyckim skrócie chce ogarnąć całość naszej egzystencji, całość naszych spraw i dążeń. Niech starczy tu jako ilustracja jedna tylko strofa — poświęcona Narodzeniu:

ojcze nasz synem jesteś

matko urodziłaś

nas
proch rozszumiały po świecie
twoje ręce
powiły czy
matko urodziłaś
w dniu Mieszka
korony przenoś
dodaj dni
każda noc tobą

piasek wybrzeża królem

(s. 57–58)

Myślę, iż pośród rozmaitych poematów liturgicznych powstałych w latach 70. i 80. *Różaniec* Basiagi wyróżnia się poziomem artystycznym, stanowi interesujący element ewolucji wymienionego gatunku.

IV

Wspomniałem, że czyta się *Przebudzenie* jako interesujące świadectwo stanu wojennego (czasu, który bardziej niż jakikolwiek inny okres naznaczył nasze pokolenie, tzw. pokolenie trzydziestolatków). Rzecz charakterystyczna: daremnie szukać w tym zbiorze „bezpośrednich" odniesień do rzeczywistości historycznej. Motywy ówczesnej codzienności pojawiają się tu raczej w obrębie tzw. „przedstawień wtórnych" — w metaforyce, w poetyckim obrazowaniu. Mówi Basiaga o *„nomenklaturze istnienia"* (s. 20), o *„o rozmiarze służalczości"* (s. 50) o *„wylegitymowaniu nadziei"* (s. 27), opowiada o kraju, w którym świszcze *„bat oklasków"* (s. 43), a ulice są *„zamiatane z ludzi"* (s. 27). Najbardziej wymowne odniesienia do spraw nurtujących nasze pokolenie w tamtych latach zawiera wiersz *Powtórka z historii*:

kraj
jak kajdany snów
rozstrzelano przypływ

— tak wszyscy wtedy myśleliśmy o rzeczywistości, tak przeżywaliśmy rzeczywistość ojczyzny. Lata 80. — pamiętają o tym wytrwali czytelnicy poezji — przyniosły ogromną falę wierszy słabych, aż po przysłowiowe „rymy częstochowskie", których jedyną wartością był mniej lub bardziej szczery patriotyzm. Na tle ówczesnej produkcji literackiej *Przebudzenie*, podobnie jak kilkanaście innych zbiorków z tamtego okresu, uderza dyskrecją w przywołaniu realiów historycznych, poetycką powściągliwością — dołącza do najlepszych artystycznie wierszy tamtej epoki.

Tomik Tadeusza Basiagi jest jednak czymś więcej niż jedną z wielu pamiątek stanu wojennego. Rzeczywistość historyczna, a tym bardziej polityczna nie jest ani jednym, ani najważniejszym przedmiotem poetyckiej uwagi autora *Przebudzenia*. Bardziej niż zbiorowość narodu i jego dziejowych doświadczeń interesuje Basiagę jednostka i jej indywidualna egzystencja. Wielokrotnie natrafiamy w zbiorku na ślady lektur francuskich egzystencjalistów — **A. Camusa**, **J. P. Sartre'a** — wydaje się nawet, iż koncepcja człowieka wyłaniająca się z wierszy *Przebudzenia*, zawarty w nich sposób odczuwania świata wiele ma wspólnego z egzystencjalizmem, z egzystencjalistyczną wrażliwością na „absurd istnienia", piekło codzienności, skandal cierpienia i śmierci. Utwory Basiagi pełne są traumatycznych obrazów bólu. *„Roję bestie rozdziobujące wykręconą w tył głowę"* — pisze w pewnym momencie autor (s. 25), odsłaniając samą istotę swej poetyckiej wyobraźni. Nieomal w każdym wierszu *Przebudzenia* pojawi się motyw jakiegoś „doświadczenia negatywnego", zbiór Basiagi układa się w swoistą *„czarną wyliczankę"* (s. 69) cierpień, tortur, zabójstw, zgonów. Świat, w którym porusza się bohater zbioru to swoiste infernum (por. zwłaszcza wiersz *Piekło*). To świat, w którym *„konowałowie wbijają igły rzeczywistości"* (s. 67), poeci depczą *„jądra ojczyzny"* (s. 36), nieznajomy *„kastruje oczy"* (s. 27), to świat, w którym torturuje się *„wariata / maleńkiego debila sumienia"* (s. 49) i podpala *„stosy naiwnych mędrców"* (s. 22). Bohater zbioru tęskni wprawdzie do owego jedynego miejsca *„w którym świat nie tonie"* (s. 42), wspomina *„dawny dobry kwiat"* (s. 41), zarazem jednak poddany jest silnej presji doświadczeń zła, braku nadziei, rozpaczy. *„Szukasz odbicia w kardiogramie lustra (rozbitego w przededniu) narodzin"* mówi sam do siebie w wierszu *(zapoznajesz się …)* — przekonany o nieusuwalnym pęknięciu naznaczającym nasze życie, nasz świat, nas samych.

Jak zatem mamy odczytać tytułową formułę zbioru? Nawiązuje ona — przypomnijmy — do filozofii i religii buddyjskiej, jest jednak dla Basiagi raczej metaforą niż pojęciem filozoficzno–teologicznym, nie ma ścisłego, jednoznacznego sensu, staje się raczej polisematycznym zwornikiem cyklu, spaja wiersze zbioru w poetycką całość. Myślę, że oznacza w zbiorze pewien rodzaj rozbudzenia wewnętrznego — najpierw na świat kultury (wystarczy tu przypomnieć tytuły niektórych wierszy: *Ikar, Minotaur, Trzecie oko, Jonasz, Koń Odysa, Syzyf, Itaka)*, potem na rzeczywistość dookolną, a wreszcie na rzeczywistość ponadzmysłową. Bohater zbioru porusza się *„wśród chiromancji wróżb"* (s. 32), *„alchemii widm"* (s. 54), wielokrotnie pojawiają się w zbiorze motywy poszukiwania *„trzeciego oka"* (s. 46), oka spostrzegającego samą istotę zjawisk, ogarniającego pełnię rzeczywistości, nie bez znaczenia są też motywy religijne, obecne zwłaszcza w *Różańcu*.

Poetyckie rozbudzenie własnego wnętrza na każdym z tych etapów przynosi

doświadczenia negatywne, zaprawione goryczą. Gorzkie przebudzenie — taką formułą można chyba określić zasadniczą tonację omawianego tomiku poezji.

Od redakcji

W nr 2(19) zamieściliśmy szkic autorstwa Jerzego Gizy kreślący sylwetkę nowosądeczanina Stanisława Kasiny. Latem otrzymaliśmy od bohatera artykułu miłe życzenia z Montrealu i słowa serdecznej podzięki. Nie przypuszczaliśmy wówczas, że będzie to jedna z ostatnich korespondencji zasłużonego lekarza i żołnierza. Jan Kasina zmarł w dniu 31 października 1997 r.

Jego pogrzeb odbył się 10 listopada 1997 r., został pochowany w Varnaes–Abenra w Danii.

SPIS TREŚCI

Maria Kowalska
WŁAŚCICIELE DWORU W LIMANOWEJ 3

Józef Bieniek
KAPŁAN Z CHARYZMĄ 27

Marcin Krakowski
SZUKAĆ TEGO CO ŁĄCZY, NIE TEGO CO DZIELI — ROZMOWA Z ANDRZEJEM KLOSKE 43

Jerzy Giza
SĄDECZANIE W SEJMIE RP II RZECZYPOSPOLITEJ 47

Wybór: Bolesław Łazarz
DAWNE WIDOKI NOWEGO SĄCZA cz. II 60

Bogdan Potoniec
ZAKŁAD WODNY MARCINA KACZA W NAWOJÓWCE 1896–1996 66

Stanisława Widomska–Fiedor
WIERSZE 76

LISTY, OPIENIE, POLEMIKI, RECENZJE 83

Przedsiębiorstwo Produkcyjno Handlowo Usługowe

33-300 Nowy Sącz
Gwardyjska 37
tel.(018)4414799, tel./fax (018)4412825

DRUK OFFSETOWY

OPAKOWANIA KARTONOWE
ETYKIETY (dowolny kształt)
KSIĄŻKI
FOLDERY
PLAKATY
NAKLEJKI
KALENDARZE
ULOTKI
LAKIEROWANIE UV i IR
SZTANCOWANIE (do formatu B1)
SITODRUK
OPAKOWANIA TEKTUROWE

FLEKSOGRAFIA

DRUK NA POLIPROPYLENIE
DRUK NA POLIETYLENIE

W najbliższym numerze między innymi:

- Oswobodzenie Nowego Sącza z „potopu" szwedzkiego
- Marcinkowicka wszechnica